

Konrad T. Lewandowski

Ksin Drapieżca

Wersję elektroniczną przygotował Bogusz Koczaski.

1. Wlokun

Przed wiekami, gdy rozrzucone wybuchem magiczne iskry Onego

padały na ludzi, zwierzęta i martwe ciała, ta jedna upadła na cmentarz. Była niczym ziarno rzucone na zaorane pole, które natychmiast zajęła dla siebie. Pierwszy błysk świadomości przeniknął wnętrza grobów i uznał Je za swoją dziedzinę. Nie jedno ciało, lecz wszystkie grzebane tu od pokoleń.

Przemiana następowała powoli, ale za to na znacznym obszarze. Pierwsze oznaki dostrzegli grabarze. Kości odgrzebywane podczas kopania nowych grobów tkwiły w ziemi dziwnie mocno, jakby trzymały je niewidzialne więzy. Zdawały się nawet poruszać To, co nazwano złudzeniem, wkrótce zmieniło się w pewność. Szybko rozeszła się wieść o nadnaturalnej sile skrytej w głębi cmentarnej ziemi. Zaprzestano kopania grobów i wezwano kapłana. Zaklęcia egzorcyzmów sprawiły ból. To, co do tej pory było jedynie świadomością niepewnie wczepioną w materię tego świata, szarpnęło się konwulsyjnie i uderzyło na odlew w źródło cierpienia.

Na oczach oniemiałego ze zgrozy tłumu głowa recytującego kapłana odgięła się do tyłu, szarpnięta nagłym skurczem mięśni. Wiązała

kości okazały się za słabe i kark pękł z ostrym trzaskiem. Świętca skonał w pół słowa, lecz emanująca z głębi ziemi siła odginała go coraz bardziej nie pozwalając upaść. Za moment kręgosłup złamał się jeszcze na wysokości piersi, potem krzyża. Dopiero potem zwinięty

w przerażający precel kapłan osunął się na murawę, ale moc Onego

wciągnęła go w ziemię na głębokość jednej piędzi. Na więcej zabrakło siły, jednakże i to wystarczyło, by wierni rozpierzchli się z krzykiem. Nikt nie

ośmielił się tknąć zwłok egzorcysty, a wkrótce po tym wydarzeniu okolica opustoszała. Ludzie odeszli tam, gdzie cmentarze nie były miejscami narodzin.

Teraz już nic nie przeszkadzało dopełnić się Przemianie. Kilku magów, którzy przybyli tu by śledzić ten nieznanym im dotąd proces, rozbiło swe namioty w bezpiecznej, jak mniemali, odległości. Każdej nocy czynili coraz to nowe obserwacje. Pewnego ranka spostrzegli, iż na

terenie cmentarza uschły wszystkie drzewa i żółkła trawa. Potem zaczęła drgać ziemia. Stopniowo owe wibracje nabrały regularności oddechu.

FFinału magowie nie zobaczyli, ale wzięli w nim udział. W nocy, zaraz po zakończeniu Przemiany, wszyscy jak jeden mąż wyszli z namiotów i pozbawili się życia własnymi rękami, łamiąc sobie karki lub rozrywając paznokciami tętnice szyjne. Potem ich trupy jak uwiązane do niewidzialnych lin

powleczone zostały na cmentarz, który nie był już cmentarzem, a raczej ożywionym pobojuwiskiem. Wszystkie szczątki wypchnięte z grobów na powierzchnię krążyły w kilku spiralnych

kręgach, niczym wirujące na wietrze liście. Były wśród nich rozkładające się zwłoki święty-egzorcyści, a kiedy dotarły stygnące ciała magów w kłębowisku zaczął rysować się ład. Oblepione ziemią kości ruszyły w jednym kierunku, zlewając się w klekoczący strumień i unosząc najświeższe zwłoki. Niebawem ten upiorny potok dotarł do cmentarnego muru, spiętrzył się na nim, przelewał i popłynął dalej, znikając w otchłani nocy.

Nie odczuwał wpływu czasu i nie wiedział, że miejsce, które uczynił

swoim rewirem nazywano Górą Pustymi. Czuł jedynie przymus wędrówki, więc krążył pomiędzy szczytami, przelewał się przez doliny i polował. Każda napotkana ludzka obecność budziła jego głód, zatem nie

zwlekając przyłączał ją do swego orszaku. Nie zastanawiał się nad sensem swego istnienia, po prostu trwał, karcił się i rósł. Nie potrzebował imienia i było mu głęboko obojętne, iż ci, którzy mieli okazję popatrzeć nań z naprawdę bezpiecznej odległości nazwali go Wlokunem.

Dla ludzi mijały wieki, lecz dla niego była to ciągle teraźniejszość.

Być może spostrzegłby istnienie przemijania, gdyby liczył swoje ofiary, jednak nie robił tego. Ludzkie kości starte w proch i kurz podczas wleczenia po skałach stale zastępował nowymi. Przez te stulecia znał tylko dwa uczucia: spokój i głód. Po raz pierwszy zdziwienie ogarnęło go wtedy, gdy napotkana ludzka obecność nie zareagowała na wysłany ku niej impuls woli. Ponowił rozkaz, ale i tym razem bez rezultatu. Zdumiony Wlokun popełnił na spotkanie swego przeznaczenia.

Mag miał wytatuowaną na piersiach sylwetkę pająka i nie zważał

na zbliżającego się demona, choć doskonale wiedział o jego istnieniu.

Mag-Pająk, specjalista od czarodziejskich sieci, miał na głowie znacznie ważniejsze zadania.

Góry Puste nie stały się pustymi tylko dlatego, że grasowały tam

Wlokuny i inne upiory. Na dobrą sprawę nawet istot nadnaturalnych

nie egzystowało w Górach Pustych wiele. Pospolite potwory wykluwające się z trupów skażonych nienawiścią zapełniały lasy rozciągające się bardziej na północ.

Szczególną cechą Gór Pustych była rozchwiana magia. Upadek Onego doświadczył ten obszar wyjątkowo dotkliwie. Magiczna tkanka rzeczywistości, rozdarta uderzeniem, nigdy już nie zdołała się zrosnąć i odzyskać jednorodności. Zaklęcia oddziaływały tutaj zbyt mocno lub za

słabo. Artefakty stawały się niestabilne, wykazując skłonność do nagłego, wybuchowego wyzwolenia zawartej w nich mocy pod wpływem najbliższej wibracji struktur nadrzeczywistych. Nawet najprostsze amulety działały na opak, doprowadzając często do śmierci właścicieli.

Oczywiście śmiałków pragnących wydrzeć Górą Pustą ich tajemnice nigdy nie brakowało. To dzięki licznym magom-badaczom,

samotnym gwarkom, poszukiwaczom skarbów i wędrownym filozofom Wlokuny były zawsze syte i nie musiały spełzać w doliny ronijskiego przedgórza.

Wlokun sunący na spotkanie Maga-Pająka, choć zaskoczony początkowym oporem, nadal jednak nie oczekiwał, że dalszy bieg wypadków wykroczy poza odwieczną rutynę. Aczkolwiek mógłby to przewidzieć, gdyby rozważył wszelkie przesłanki. Natura Wlokuna była

jednak naturą żywiołu, dlatego mimo posiadania pewnych przejawów świadomości postąpił on teraz jak ślepy żywioł.

Mag-Pająk stał wyprostowany, za nim leżało pięć tworzących półkole artefaktów: miedziany miecz, czaszka strzygi, malachitowy ostrosłup, przypominający krzak wielki samorodek srebra i żeliwny posążek brzemiennej kobiety. Mag wpatrywał się we wznoszącą się przed

nim granitową skałę i w pewnej chwili bezgłośnie poruszył ustami.

Od szczytu skały odprysł kęs kamienia. Artefakty zaświeciły jaskrawo, każdy światłem odpowiadającym jego naturalnej barwie. Mag wykonał szybki gest dłonią i gigantyczne, lecz niewidzialne dłuto wyryło w skałe głęboką, długą na trzydzieści kroków bruzdę.

Długo trwały przygotowania i wiele wysiłku kosztowało Maga-Pająka zdobycie i dostarczenie tu kompletu artefaktów. Teraz jednak

mógł wreszcie przystąpić do magicznego przedsięwzięcia o jakim jeszcze nie słyszał świat. Zamiarem Maga-Pająka było nałożenie na Puste Góry gigantycznej sieci, która zwiąże i uładzi poszarpaną magiczną tkankę tych okolic. Teraz powstawała rzecz najważniejsza. Skała rzeźbiona uderzeniami kolejnych zaklęć miała posłużyć jako kotwica i węzeł czarów poskramiających nadnaturalne moce.

Pierwszy z nich właśnie zaczął działać. Nagle szarpnięcie wprawiło w drżenie skałę-kotwicę i otaczający ją grunt. Gwałtowny, metaliczny brzęk, jakby grubą stalową strunę napięto do granic wytrzymałości, odbił się echem od szczytów. Wiązka czarów nie posiadających

grubości ani szerokości, a tylko długość, przemknęła przez tysiące mil grani i dolin Gór Pustych aż do Oceanu Południowego. Wlokun odczuł dotkliwe, parzące smagnięcie, jakby uderzono go rozpalonym do

białości żelaznym batem.

Jeden z artefaktów Maga-Pająka - miedziany miecz - zaczął rozpadać się w oczach, pożerany przez zieloną parynę, której ruchliwy

kożuch pochłonął czerwony metal z furią wygłodniałego drapieżnika.

Gdy druga magiczna lina związała nadnaturalne przestrzenie, ze skały-kotwicy miast gruzu zaczęły sypać się skry. Czaszka strzygi rozpadła się na kawałki niczym rozdeptana niewidzialnym butem. Mag-

Pająk wykonując ramionami jakby pływackie ruchy wykrzykiwał zaklęcia z niewiarygodną szybkością. W kącikach ust miał pianę, skóra

twarży stała się sucha i żółta jak u starca.

Trzecie szarpnięcie spowodowało trzęsienie ziemi. Kotwicę pokrył

lód. Malachitowy ostrosłup szerniał i rozpadł się w proch.

Szerta ludzkich kości pchanych niewidzialną siłą przesypała się przez grzbiet pagórka kilkadziesiąt kroków za plecami maga.

Potem z przenikliwym wizgiem przestrzeń nad Pustymi Górami

przeszło coś, jakby gigantyczny bełt wystrzelony z monsturalnej kuszy. Srebro zamieniło się w złoto.

Rozedrganą skałę oplotła pajęczyna błękitnych błyskawic. Niebo nad górami przybrało amarantową barwę, a chmury zaczęły rozciągać się w białe smugi.

Gdy Wlokun w całości pokonał wzniesienie oddzielające go od Maga-Pająka, brzemienna kobieta z żelaza powiła homunkulusa. Rzeczywistość jęczała i drżała jak rzucona o ziemię harfa.

2. Dienne widmo

Poblady błazen wynurzył się z głębi izby tortur, chwycił kurczowo

kamienną framugę, poruszył ustami jak ryba, po czym wyróciwszy

oczy białkami do góry padł zemdłony na progu.

- Cóż, ekscelencjo - Redren zwrócił się do siedzącego po swej lewicy ambasadora Cesarstwa Archipelagu Południowego. -Wrodzonego dowcipu to mój trefniś może i nie ma, ale jego talent mimiczny

jest, jak widać, bez zarzutu.

Szlachetny Rgbar nie zdążył udzielić dyplomatycznej odpowiedzi,

gdyż w tym momencie w izbie tortur eksplodował potworny ryk bólu i ambasador musiał skoncentrować się na zachowaniu kamiennej

twary. Nie było to proste. Ów smagły, wykwinny Południowiec złożył listy uwierzytelniające zaledwie trzy tygodnie temu i dopiero

pierwszy raz uczestniczył w rozrywkach Redrena Szalonego.

- Maesiro! - wrzasnął władca Suminoru, przekrzykując dudniące

w lochach echo krzyku skazańca.

Długowłosa muzyk potrząsnął głową i uderzył w klawiaturę klawesynu. Szalony akord finezyjnie splótł się z kolejnym skowytom torturowanego człowieka, wywołując szmer podziwu dworzan zgromadzonych za fotelami króla i ambasadora. Chwilę później następny wrzask utonął wewnątrz

kunstownej gamy, niczym robak w złocistej żywicy. Kat metodycznie kontynuował swe dzieło, a artysta przy klawesynie pewnie dotrzymywał mu kroku. Z wręcz nadnaturalną intuicją

muzyk bezbłędnie odgadywał kolejne czynności znajdującego się za

ścianą mistrza Jakuba. Każdy szloch, jęk, a nawet wycie traconego

czarownika było puentowane harmonijnym akordem lub uzupełniane grupą dźwięków tak, że w lochach rozbrzmiewała muzyka równie

straszna, co doskonała. Słuchacze trwali zawieszeni w pół drogi między grozą a zachwytem. Tu długie, białe palce muzyka śmigały po klawiaturze klawesynu, wprowadzając struny w gorączkowy tan na granicy zerwania, tam zębate obcęgi i piły rwały mięśnie, powoli druzgotały kości, otwierały stawy - wszystko zgodnie z odwieczną, zapisaną w Księdze Prawa procedurą zadawania śmierci na mękach.

Ksin obserwował przez chwilę błazna, który ocknął się zaraz po rozpoczęciu koncertu, odpełził na czworakach w odległy kąt i tam zwymiotował. Nie zauważył tego nikt poza kotołakiem. Wszyscy, zasłuchani, ze ściśniętymi gardłami śledzili konwulsyjne podrygi mistrza klawesynu. Melodia zataczała właśnie kolejne, demoniczne rondo. Genialnie dobrane dźwięki stwarzały złudzenie, że torturowany śpiewa...

Ksin przymknął oczy. Redren, trzeba mu to przyznać, rzadko skazywał kogoś na tak okropną śmierć, ale jeżeli już, to korzystając z okazji urządzał nie byle jakie przedstawienie. Tak było i tym razem. Pojmany w Katimie płatny czarnoksiężnik-morderca okazał się prawdziwym darem losu, gdyż w ostatnich dniach zaszła konieczność niewielkiego "rozmiękczenia" nowego ambasadora Cesarstwa Archipelagu Południowego. Sądząc po minie dostojnego Rgbara, koncert robił na nim

właściwe wrażenie i w jutrzejszych rozmowach dotyczących statusu

portu i miasta Kemr, powinien zostać odnotowany znaczący postęp.

Polityka nie była zatem źródłem niepokoju Ksina - kotołaka w służbie króla Redrena III. Było to coś innego...

Nigdy dotąd nie zdarzyło się, by zawiódł go zmysł Obecności. Tymczasem już od dwóch dni Ksin miał wrażenie, iż odczuwa bliskość innej istoty demonicznej, lecz nie potrafił określić kierunku ani odległości. Coś wokół niego krążyło, ale równie dobrze mogło znajdować się krok za nim, jak i hen za miejskimi murami. Doprowadzało go to do szału. Nadworny mag - Rodmin - poproszony o pomoc, zamknął

się w swej pracowni i nie pokazywał od kilkunastu godzin.

Każń zbliżała się właśnie do momentu, w którym wyzwolona przez

mistrza Jakuba fala bólu miała ostatecznie unicestwić umysł skazańca, a żelazny tłok maszyny tortur rozgnieść jego czarne serce, jak opiewała sentencja wyroku.

Muzyk przy klawesynie również przygotował się do finału. By stworzyć pozór uspokojenia przed ostatecznym wybuchem szału zignorował jęki torturowanego i dobył z instrumentu monotonną wibrację,

jakby podawał rytm czterem osiłkom, pomocnikom mistrza Jakuba,
napędzającym główne koło zamachowe maszyny męki, której miarowy łoskot był stale obecny w tle.
Słuchacze czekali.

Brzęk struny i łomot maszynierii poczęły narastać. W ślad za nimi
pod sklepienie wzbił się ostatni wrzask skazańca. Dźwięki zawirowały eksplodując echem.

- Czas nadszedł! - syknął klawesynista.

Długie włosy uniosły się i zatańczyły na jego głowie jak płomienie.

Z instrumentu buchnęło błękitne światło.

Dla Ksina nagle melodia i uporczywe wrażenie Obecności stały się
jednym. Spozrzegł, że klawisze zapadają się w głąb klawesynu, nim
jeszcze dotknęły ich palce artysty.

- To czarownik! - krzyknął do towarzyszących mu gwardzistów. -

Brać go!

Na to było już za późno. Żołnierze zdążyli tylko osłonić króla i ambasadora. Muzyk znikł, jakby go
nigdy nie było, a rozerwany magicznym wybuchem klawesyn rozrzucił po całej sali kawałki
rozżarzonych

do czerwoności strun. Dworzan ogarnęła panika. Wrzeszcząc i piszcząc stłoczyli się na prowadzących
na górę schodach. Wir błękitnego

światła zmienił barwę na fioletową i przeniknął kamienną ścianę wpadając do izby tortur.

- Strzeż Jakuba! - krzyknął Redren do Ksina.

Kociołak bez namysłu wbiegł do katowni. Jakaś część maszyny tortur, chyba imadło goleniowe,
oderwane od reszty omal nie rozwaliło

mu głowy, przelatując o palec od skroni. W następnej chwili magiczna siła rzuciła Ksinem o ścianę.

Ktoś za to zapłaci głową..., pomyślał i desperacko szarpnął się w bok,

bo właśnie prosto na niego poleciał żelazny kosz pełen rozżarzonych

węgla. Feeria czerwonych bryłek osypała się po ścianie, cudem omijając kociołaka. Zapłonęły jakieś
szmaty.

Nad katowskim stołem i częściowo zdemolowaną maszynierią wirował słup ludzkich strzępów,
skąpanych w fioletowej poświacie. Wyzwolona w lochu magiczna moc uwolniła skazańca, wrywając
po prostu jego ciało z obejm, szczęk i kajdan. Po tym wszystkim trudno było domyślić się, że to, co

unosilo się nad stołem było kiedyś człowiekiem. Ale kształt nie miał znaczenia, właśnie dopełniała się demoniczna Przemiana. Moc Onego przesycala organiczne resztki, tworząc upiora zwanego Szczątnikiem.

Ksin, wypatrując mistrza Jakuba, zrobił nieopatrznie jeden krok do przodu i znalazł się w zasięgu magicznego wiru. Niekontrolowana Przemiana spadła nań pod postacią potwornego bólu. Ręce zamieniły się w szpony. W nagłym paroksyzmie cierpienia uderzył nimi we własne piersi, rozrywając stalowy napierśnik jak papier. Potem coś sprawiło, że wskoczył na stół. Wiedział, iż powinien spróbować zabić Szczątnika, ale zamiast tego zaczął z nim tańczyć...

Chwilę później wszystko ustało i zgasło. Kotołak stracił równowagę i zleciał ze stołu, padając na posadzkę obok mistrza Jakuba.

Królewski kat zamrugał oczami. Od momentu, gdy Ksin znalazł się w izbie tortur, minęło nie więcej niż sześć uderzeń serca. Kotołak szybko usiadł.

- Nic ci nie jest, mistrzu? - zapytał.

-Nie... -Jakub z roztargnieniem potrząsnął głową.

Podeszli pomocnicy i pomogli im wstać. Nie dało się dostrzec, czy magiczny kataklizm wywarł na tych czterech nie domytych osiłkach jakiegokolwiek wrażenie. Cóż, na katowskich pachotków zawsze wybierano osobników o nieco ograniczonej wrażliwości.

-Trzy śruby urwał - oznajmił najstarszy z nich, mając najwyraźniej na myśli straconego czarownika. - Pies po nim jeździ! Ale my będziemy naprawiać...

- Bierzcie się do roboty! - uciął narzekania mistrz Jakub.

- Do rana nam zejdzie - zaczął biadolić drugi.

- Dość! - kat oparł się o ścianę i zapatrzył gdzieś przed siebie. Ksin przyglądał mu się uważnie.

- Powinienem był zatkać mu gębę... - mruknął Jakub, ni to do siebie, ni to do kotołaka. - Bodaj to!

- Na Reha! - w progu stanął Redren. - Gdzie żeś tego muzyka wynalazł? - zwrócił się do Ksina. - To tak sprawdzasz ludzi, których sprowadzasz mi na dwór?! Ty się, kocie nasienie, ciesz, że Jakub, jak widzę, cały i zdrowy! Nie darowałbym, gdybyś mi najlepszego kata zmarnował. No, gadaj!

- Panie, ten klawesynista miał list polecający od samego ambasadora Rgbara - odparł Ksin.

- Co?! To dopiero mi o tym mówisz?!

- Panie, miałem zamiar dokładniej sprawdzić tego człowieka...

- Jakiego człowieka?! - warknął Redren. - Teraz to nawet ja wiem, że to było dzienne widmo. Ty powinieneś być wyczuć je wcześniej!

Zamiast tego, dałeś się omamić jak głupi!

- Czułem coś, tylko nie wiedziałem gdzie...

- Trzeba było przynajmniej powiedzieć mi o liście. Rgbar wspominał przed koncertem, że nie zna tego muzyka.

- Wybacz panie - Ksin spuścił głowę.

Redren popatrzył nań krytycznym wzrokiem.

- Nie dość, że spartolił robotę, to jeszcze chodzi w rozchełstany pancerzu... - stwierdził bez śladu wesołości. - Jako dowódca straży zawiodłeś po raz pierwszy i ostatni. Pamiętaj o tym! Możesz sobie być

kotołakiem, ale masz mieć więcej szczęścia od rozumu, albo w najgorszym razie odwrotnie! - król odwrócił się na pięcie i wyszedł z izby

tortur.

Mag Rodmin pokręcił głową ze współczuciem i wznowił spacer pałacowym krużgankiem.

- Więc nie czytałeś Bestiariusza mnicha Anafazego?

- Nie - przyznał ponuro Ksin, ruszając za magiem.

- Jest tam wzmianka mówiąca, że rozproszone wrażenie Obecności to jedna z cech dziennego widma.

- Nie mogłeś mi tego powiedzieć od razu?! - wybuchnął kotołak.

- Chciałem się upewnić i należycie przygotować. Nie sądziłem, że widmo ujawni się tak szybko, wybacz.

-Ale ten list... - zaczął Ksin.

- Lepiej nie pokazuj go ambasadorowi, bo uzna to za jakąś perfidną grę. List jest bez wątplenia autentyczny, ale czcigodny Rgbar nie

ma z nim nic wspólnego.

- Nie rozumiem.

- Dienne widmo to materializacja pragnień tworzącego je maga.

Najważniejszą umiejętnością tej istoty jest zdolność realizacji marzeń.

Chciałeś mieć list polecający, więc Ono stworzyło go dla ciebie...

- A niech to!

- Dienne widma są niezwykle trudne do wywołania, a na dodatek

bardzo kapryśne. Wykazują silną skłonność do dominowania nad swoim stwórcą - mówił dalej Rodmin. - To sprawia, że tworzone są bardzo rzadko, bo nawet najpotężniejsi magowie boją się samych siebie...

- Ale ten się odważył - mruknął Ksin.

- To był pośledni czarownik, któremu zabrakło wyobraźni. Dlatego właśnie skończył tak marnie.

-Jednak widmo spełniło jakieś jego życzenie... -stwierdził kotołak.-Jakie?

- Umożliwiło mu rzucenie niezwykle silnej klątwy, tak potężnej, że w mojej pracowni spłonęło kilka pospolitych amuletów ochronnych.

- Zniszczone zostały też wszystkie magiczne zabezpieczenia izby

tortur - dodał Ksin. - Więc to była klątwa... - zawiesił głos.

- Nawet Kamienie z Północnych Moczar? - zdumiał się mag. - Nieźle... Choć w sumie można się było tego spodziewać - dodał ciszej.

Nie wypowiedziane pytanie zawisło w powietrzu.

- Zostały po nich tylko dziury w ścianach i czarny pył... - rzekł kotołak, starając się odwlec chwilę okrutnej prawdy.

- Powiedz, kto? - przerwał mu Rodmin. - Kto padł ofiarą klątwy?

- Mistrz Jakub - Ksin odwrócił głowę. - Tylko on w momencie ujawnienia się widma był w zasięgu wzroku i głosu skazańca.

- Szczęście w nieszczęściu, że to nie król, ani ambasador.

- Dla mnie niewielka różnica - stwierdził kotołak. - Redren jeszcze nie wie wszystkiego, ale chwila, w której się dowie, będzie też

ostatnią chwilą mojej służby na tym dworze.

- Czy król sądzi, że to były tylko małe, nie zaplanowane, magiczne fajerwerki? - spytał Rodmin. - Bez groźnych następstw?

-Chyba tak...

- Więc postaraj się nie wyprowadzać go z błędu. Mistrz Jakub to

coś więcej niż byle oprawca. Mówią o nim, że nawet świeżego trupa

potrafi zmusić do odczuwania bólu. Jest fanatykiem Prawa, pochodzi

ze szlacheckiego rodu, pisze wiersze i, prawdopodobnie, w imię sprawiedliwości używa Czystej Magii. Bez niego pałacowi spiskowcy mieliby trzy razy mniej skrpułów.

-Wiem o tym - westchnął ciężko Ksin. - Na dodatek Redren zwyczajnie go lubi.

- Bo już kilka razy zdarzyło się, iż Jakub odmówił wykonania wyroku wydanego przez przekupnych sędziów. Ten kat jest chyba jedynym człowiekiem, który poważnie traktuje prawa tego kraju i król o tym wie.

- A ja, przez kilka głupich niedopatrzeń doprowadziłem do tego, że za kilka dni lub godzin mistrza Jakuba rozszarpie jakiś demon - zakończył kwaśno Ksin.

- Jeśli do tego dojdzie, będzie to koniec twojej błyskotliwej kariery na królewskim dworze. Po zaledwie trzech miesiącach od nominacji na kapitana gwardii, szkoda...

- Co mogę zrobić?

- Być przy Jakubie we właściwej chwili i rozprawić się z tym, co przyjdzie go zabić. Fach tępiciele nie jest ci przecież obcy.

-To prawda, ale jak mam walczyć ze Szcząmikiem? Już próbowałem...

- Nauczysz się kilku zaklęć, niezbyt trudnych. Szczątniki to demony, które tylko częściowo egzystują w naszym świecie. Trzymają

je tutaj szczątki tego, co kiedyś było ich ciałem. Dlatego dość łatwo jest zepchnąć je z powrotem do sfery Onego.

- Mam używać zaklęć?

-Zaklęć, kłamstw, prawdy, intryg, przebiegłości, wszystkiego co pozwoli ci przeżyć na dworze. Na twoim stanowisku nie ma miejsca na

partactwo i popełnianie błędów! Założę się, że gdybyś dokładniej przesłuchiwał świadków, a nie zadowolili się szybkim pojmaniem tego czarownika, na pewno usłyszałbyś to i owo o jakimś tajemniczym współniku. W ten sposób wpadłbyś na trop dziennego widma i, być może,

nie wpuściłbyś go tak łatwo do pałacu. Popełniłeś mnóstwo błędów, mości kotołaku!

- Redren chciał, by koncert przygotować najszybciej, jak to możliwe...

- Żadne tłumaczenie nie zmieni tego, że zawiodłeś króla, mistrza

Jakuba, a także Hantińję i siebie.

- Mianując mnie kapitanem Redren powiedział, że jakby co, to powinienem spaść na cztery łapy...

- Radzę ci, zrób to jak najszybciej!

- Nie kapitanie, dziękuję za troskę, lecz nie mogę przyjąć twojej

opieki - mistrz Jakub wrócił do wertowania leżącej na stole książki.

Mieszkanie Naczelnego Kata Suminoru w niczym nie przypominało typowej siedziby miejskiego oprawcy, będącej zwykle skrzyżowaniem pracowni czarnoksiężnika z zapleczem apteki. Mistrz Jakub nie

dorabiał sobie wyrobem magicznych ingrediencji, ani udzielaniem porad medycznych ludziom z gminu. Nie mieszkał też w suterenie, lecz

w słonecznym apartamencie na pierwszym piętrze południowego

skrzydła królewskiego pałacu. Pokój, w którym się znajdowali, przywodził na myśl gabinet uczonego badacza ksiąg.

Zdenerwowany Ksin przestąpił z nogi na nogę.

- Mistrzu, z powodu mego niedopatrzienia grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo. Zechciej, proszę, raz jeszcze rozważyć moją propozycję.

Jakub odsunął księgę i zamknął kałamarz. Wstał od stołu.

- Drogi kapitanie - rzekł. - Nie żywię do ciebie najmniejszej urazy, ani też o nic cię nie obwiniam. To była wyłącznie moja wina.

- Nie rozumiem - stwierdził zdumiony Ksin.

Mistrz Jakub założył ręce na plecy i podszedł do okna.

-Według Prawa - zaczął -jedynym sprawcą cierpienia, bólu i strachu jest tylko i wyłącznie przestępca. Kat sprawia, że odwrócony zostaje bieg zdarzeń i ból wraz z lękiem wracają od ofiary do zbrodniarza, który pierwiej uczynił się ich źródłem. To słuszna i sprawiedliwa

zależność, zaś sędzia i zalecenia Prawa określają jej miarę.

- Do czego zmierzasz, mistrzu? - spytał kotołak.

- Z zasady tej wynika i to, iż skazaniec winien być pozostawiony

sam na sam ze swym cierpieniem, czyli że jego usta powinny być zatkane. Ja na życzenie naszego króla, który pragnął słyszeć krzyki przestępcy, sprzeciwiłem się duchowi Prawa i nie założyłem knebla. Było to również sprzeczne z zasadami bezpieczeństwa, jakie należy

przedsięwzięć podczas tracenia czarnoksiężników Z pełną świadomością zgodziłem się na to pierwsze i zlekceważyłem drugie. Ty, kapitanie, zarzucasz sobie tylko kilka drobnych, nieumyślnych błędów, moje przewiny są znacznie cięższe, zatem to ja ponoszę pełną odpowiedzialność za wczorajsze zajście.

- Chcesz więc mistrzu biernie czekać na swój los?! -wybuchnął Ksin.

- Tego nie powiedziałem, kapitanie. Stwierdzam tylko, iż ten nieszczęsny przypadek z klątwą konającego czarownika to wyłącznie moja sprawa i sam stawię jej czoło.

-Ależ mistrzu, chyba nie zdajesz sobie sprawy...

- Oglądałem szczątki kilku szacownych przedstawicieli cechu katowskiego, którym zdarzyło się popełnić podobną nierozwagę - odparł spokojnie Jakub. - Na tej podstawie twierdzę, że znane mi są wszelkie aspekty niebezpieczeństwa, w jakim się znalazłem.

Kotołak milczał chwilę, nie wiedząc co odpowiedzieć.

- Mistrzu - postanowił spróbować ostatniego argumentu - wydaje mi się, że traktujesz tę sprawę nazbyt honorowo...

- Kapitanie - przerwał mu stanowczo kat -jestem szlachcicem, który po głębokich rozważaniach podjął się wykonywania rzemiosła niestuszenie uznawanego za nierycerskie. Innymi słowy: nadal obowiązują mnie

zasady kodeksu honorowego, lecz to jeszcze nie wszystko. Pomyśl tylko,

kapitanie, jak człowiek, pozbawiający życia bezbronnych ludzi, zadający

im niewyobrażalne cierpienia, może być godny tego, by samemu istnieć?

Jak ktoś czyniący coś takiego, może odnajdować człowieczeństwo w samym sobie, we własnych oczach? Jest tylko jeden sposób. Człowiek ów

musi kierować się zasadami stokroć twardszymi od przyjętych wśród szlachetnie urodzonych.

Najmniejsze uchybienie wobec Prawdy i Sprawiedliwości natychmiast uczyniłoby ze mnie żałosnego rzeźnika. Dlatego dobrowolnie wyrzekłem się rodziny, dlatego żyję w samotności i dlatego zawsze prosto w oczy spoglądam upiorom wylęgającym się z ciał straconych przestępców. Życzę ci, mości kapitanie, byś również i ty nazwał słowami zasady, które niechybnie w sobie nosisz. Nie wątpię w to, gdyż bez

nich byłbyś tylko bestią niezdolną do życia między ludźmi. Proszę kapitanie, nie gniewaj się, iż wspominam, że nie jesteś człowiekiem. To tylko stwierdzenie faktu, a nie obelga, niech mnie Reh uchwala!

- Ależ skądże, nie czuję się obrażony... - wybąkał skołowany

kotołak.

Do pełni Księżyca pozostało półtorej godziny. Ksin miotał się po

pracowni Rodmina, niczym tygrys w klatce.

- Kompletnie mnie zagadał! - pieklił się, chodząc od stołu do szafy na ingrediencje i z powrotem.

- Sądząc po twojej minie domyślałam się, że argumenty mistrza Jakuba były logiczne...

- Na moc Onego! Znam setki sposobów popełnienia samobójstwa,

a żaden z nich nie wymaga logicznego myślenia!

Rodmin zwinął pergamin, którego i tak nie był w stanie uważnie

czytać.

- Boisz się o Jakuba czy o własną skórę? - zapytał spokojnie.

- Nie mogę znieść bezczynności!

- Przyjacielu, zupełnie cię nie poznaję. Od waszej rozmowy minęły już cztery dni. To dość czasu, aby ochłonąć.

- Wręcz przeciwnie! Z dnia na dzień ta sprawa niepokoi mnie coraz bardziej. Im dłużej o tym myślę...

- Może usiądź wreszcie! - nie wytrzymał Rodmin. - Skoro mistrz

Jakub prosił cię, byś się w to nie mieszał, bądź łaskaw spełnić jego

wolę.

- Ostatnim razem mówiłeś co innego!

- Nie wiedziałem, że kat potrafi radzić sobie z demonami.

- Rzeczywiście! - prychnął Ksin. - Mistrz Jakub bywa nocami w Wąwozie Niepogrzebanych, a na każdą taką wyprawę zabiera ze sobą topór o srebrnym ostrzu...

- Kazałeś go śledzić? - zdumiał się mag.

- Owszem. Dzięki temu wiem, że dziś wieczorem wybiera się tam

po raz kolejny. Pojadę za nim!

- Po co? Przecież to już nie twoja sprawa.

- Sam mi radziłeś.

- Zmieniłem zdanie. Nie mieszaj się do tego.

-A Redren?

- Ksin, o co ci właściwie chodzi?

- Muszę tam iść!

- Musisz?

Ciałem Ksina wstrząsnął nagły paroksyzm.

- To chyba Przemiana... - wydyszał ciężko - przed czasem... Muszę szybciej... - ruszył w kierunku drzwi.

W spojrzeniu Rodmina nie było już irytacji, lecz czujność.

- Dlaczego właściwie przyszedłeś do mnie?

-Wydawało mi się... - kotołak złapał oddech - że powinieneś wiedzieć.

- Przemiana nie ma prawa zacząć się przed pełnią - rzekł mag surowo. - Zostań chwilę, muszę coś sprawdzić...

- Nie mogę - drzwi już były otwarte. - Nie mam czasu - dobiegło

z korytarza.

Rodmin stał przez chwilę zdumiony i zdezorientowany.

- Nie, to niemożliwe - wyszeptał w końcu i podszedł do szafy z magicznymi przyborami. Otworzył ją, wyjął i ustawił na stole nieduży,

srebrny kociołek z płaską pokrywką. Po namyśle wsypał do naczynia

sześć uncji drobno zmielonych kości sprawiedliwie straconych zbrodniarzy. Wyszeptał zaklęcie uaktywniające i nałożył pokrywkę. Po

chwili z kociołka dobiegł szmer podobny do dźwięku wydawanego

przez piasek przesypujący się we wnętrzu klepsydry. Mag ostrożnie

odkorkował flakon zawierający zęby morderców, którym udało się uniknąć kary i zmarli śmiercią naturalną. Kilkanaście pożółkłych kłów i siekaczy wysypał na wierzch srebrnej pokrywki kociołka.

Reakcja magiczna była natychmiastowa: zęby odpychane przez srebro i zawartość naczynia poczęły wibrować i podskakiwać. W pracowni rozległ

się gorączkowy klekot i brzęk.

Rodmin odszedł na moment i mrużąc oczy wyciągnął z szuflady

jeden z talizmanów zniszczonych podczas wypadku w katowni.

Trzymając go za łańcuszek zawiesił zmętlniały, pęknięty kryształ

nad drgającymi zębami. Wypowiedział drugie zaklęcie i zadał

w myślach pytanie.

Zęby ułożyły się w runę.

Mag zbladł, powtórzył zaklęcie głośniejszym głosem i zadał następne pytanie.

Zęby odpowiedziały tworząc symbol "taniec śmierci".

Rodmin odskoczył gwałtownie od stołu. Desperackim ruchem wykonał gest przecinający zadziergnięty czar. W tej samej chwili poczuł zapach palonego drewna. Wiszący nad drzwiami do komnaty główny chroniący pracownię amulet aż świecił rozpalony do czerwoności.

Drewno nadproża dymiło i syczało.

jeszcze chwila, a...

Królewski mag otarł zimny pot, który obficie zrosił mu czoło.

- Straż! - krzyknął, ile tchu w piersiach. - Do mnie!!! Natychmiast!!!

Z izby tortur dobiegały odgłosy siorbania i mlaskania. Pomocnicy

mistrza Jakuba jedli właśnie kolację. Mag Rodmin stanął przed wejściem i nie przestępując progu przez chwilę nasłuchiwał. Twarz miał

ściągniętą, skupioną.

- Hej, wy tam! - zawołał głośno.

Odpowiedziało mu donośne beknięcie.

- Czego? - zapytał jakiś podpity bas.

- Chodźcie no tutaj! - rozkazał Rodmin.

W drzwiach pojawił się jeden z oprawców w przepoconej koszuli.

- O! - stęknął. - Magik Rodmin... jaki zasz...

- Więcej szacunku, chamie, bo skończysz w chórze eunuchów!

- Co wasza magiczność rozkaże! - katowski pachotek wyprostował się szybko, odruchowo zasłaniając dłonią krocze. Z tyłu pojawiły się dwie następne zaczerwienione, opasłe gęby.

Mag cofnął się dwa kroki.

-Wyjdźcie wszyscy - polecił.

Czterech ospałych osiłków pospiesznie wyszło do obszernego przedsiionka, znacznie większego od samej izby tortur.

- Za chwilę przyprowadzą tu skazańca, który z rozkazu króla ma być natychmiast wzięty na męki - oznajmił Rodmin.

- Ale mistrza nie ma - zaoponował najstarszy, łysy oprawca.

- Co, nie poradzicie sobie? Tylko dzieci nauczyć umiecie?

Pomocnicy popatrzyli po sobie.

- Poradzim, nie poradzim - odparł najstarszy - ale jak się nasz

mistrz dowie... On ma na rozumie pokręcone, a my są ubogie królewskie poddane...

- Po sztuce złota na łeb! - uciął dyskusję Rodmin.

- Wasza miłościwość, dajcie no nam tego huncwota! Zaraz mu, pies

po nim jeździł, sprawiedliwość zrobimy!

- Dobrze - warknął Rodmin - stańcie pod ścianą, zaraz go przyprowadzą.

Do przedsionka wbiegło sześciu gwardzistów z kuszami gotowymi

do strzału. Stanęli naprzeciw oprawców. Na schodach prowadzących

na górę rozległ się tupot i kilka przekleństw.

- I czego głupku we mnie mierzysz! - wrzasnął najstarszy pomocnik do jednego z żołnierzy. - Odwróć tę kuszę!

- Teraz - powiedział mag.

Warknęły zwalniane cięciwy. Tępe uderzenia beltów, trzask rozdzieranego mięsa. Wycie mordowanych oprawców przeszło momentalnie

w nieludzki ryk. Ciała katowskich pomocników wręcz eksplodowały,

uwalniając ukryte w nich bestie. Pod ścianą przedsionka rozszalało

się kłębowisko kłów, szponów i powykręcanych kończyn. Demoniczny wrzask zmroził szpik w kościach żołnierzy.

Wystrzelone bełty miały srebrne groty.

Jeden z potworów, nie trafiony w serce, wymachując łapami rzucił

się na żołnierzy, ale właśnie na tę okoliczność Rodmin zabrał ze sobą

dwoch dodatkowych strzelców... Wbiegający do lochu kusznicy szyli w wijące się pod ścianą upiory.

Rodmin podszedł do stojącego u podnóża schodów bladego jak chusta setnika, zastępcy Ksina.

- Czy teraz już możesz sobie wyobrazić, panie oficerze, do czego

doszłoby w pałacu po wschodzie Księżycy w pełni? - zapytał mag, gdy

ucichły odgłosy nadnaturalnej agonii.

Dowódca gwardzistów tylko przetknął ślinę. Żołnierze stojący nad

martwymi potworami, powczepianymi w siebie zębami i pazurami,
wymieniali szeptem krótkie uwagi.

- Dlaczego oni nie stają się znów ludźmi? - zapytał oficer patrząc
na nieruchome ciała. - Przecież już nie żyją...

- Leżą zbyt blisko źródła uroku - Rodmin wskazał na ciemne wejście

do izby tortur. - Niech nikt nie wchodzi tam pod żadnym pozorem! Trzeba wezwać kapłanów, by
odprawili egzorcyzmy. Ja tu już swoje zrobiłem...

- A co z naszym kapitanem i mistrzem Jakubem? - odezwał się setnik.

Mag nie odpowiedział.

Wąwóz Niepogrzebanych zawsze cuchnął padliną. Prawo odbierało straconym przestępcom przywilej
posiadania grobu, w zamian przeznaczając im kubel gaszonego wapna. Jednak w przeciwieństwie do

królewskich sędziów, miejscowi grabarze nie uważali, by martwym

zbrodniarzom cokolwiek się należało. Wapno znikало od pokoleń,

sprzedawane dyskretnie po przystępnej cenie wszystkim potrzebującym w Katimie i okolicy.

Ograniczając się do jednorazowego ochlapania zwłok grabarze skądinąd słusznie zakładali, że im
mniej wapna

zmarnuje się w Wąwozie, tym mniejsza szansa, iż jakkolwiek urzędnik zdoła tam wejść i wykryć
zaniedbania...

Z pewnością zaś nikt nie wszedłby do Wąwozu Niepogrzebanych

nocą, podczas pełni Księżyca. Obecność żywego człowieka w tym

miejscu i czasie mogła, mimo starań kapłanów zabezpieczających zwłoki przed Przemianą,
doprowadzić do nieobliczalnych oddziaływań

pomiędzy skażonym nienawiścią ciałem a mocą Onego. Jedynym wyjątkiem był mistrz Jakub, który
zgodnie ze swymi przekonaniem regularnie przybywał do Wąwozu, by dobić to, co usiłowało się tam
wylęgnać. Większość katów, żyjących w ciągłym strachu przed swymi

klientami i zabezpieczających się przed nimi na wszelkie sposoby, uważała takie postępowanie za
objaw obłąkania. Ich zdaniem brat cechowy Jakub już od dawna nie powinien żyć...

Królewski kat szedł powoli, stąpając po grubej, wielowiekowej warstwie kredy i zetlełych kości. W
Wąwozie Niepogrzebanych nie rości nic, wyjąwszy zniekształcone Onokrzewy i świecące grzyby. Blask

tych ostatnich tłumiło jednak światło Księżyca. Szarometaliczne cienie otaczały bryły cuchnącej
czerni. Obszary smrodu tworzyły niewidzialne ściany i kolumny. Mistrz Jakub nie zważał na to.

Srebrny

topór w jego dłoni wydawał się świecić w blasku Księżyca, ale nie oświetlał niczego.

Za trzecim zakrętem Wąwozu wznosiła się sztuczna skała, powstała ze sterty kości i czaszek spojonych skamieniałą zaprawą. Był to znak

orientacyjny. Nieliczne szczątki straconego czarnoksiężnika, których

nie porwał ze sobą magiczny wir, złożono kilkanaście kroków od tego miejsca. Mistrz Jakub oparł się plecami o ponury monolit i czekał.

Uczucie rozpoczynającej się Przemiany znikło, gdy Ksin opuścił królewski pałac. Przed wejściem do Wąwozu Niepogrzebanych kotołak

zastał tylko konia mistrza Jakuba. W noce takie jak ta grabarze siedzieli

w domach i modlili się, by sztaby zabezpieczające drzwi i okiennice

nie okazały się za słabe.

Ksin uwiązał swojego wierzchowca razem ze zwierzęciem Jakuba,

po czym zrzucił ubranie i oddalił się, by nie splotyć koni.

Fala żaru i księżycowej poświaty ogarnęła go od razu po wejściu do

Wąwozu. Krew zamieniła się we wrzątek, a umysł wypełniła mieszanina bólu i osobliwej słodyczy...

Kości zatrzeszczały. Jakub odwrócił się, szybko unosząc topór. Oczy

kata napotkały pałające, zielone ślepie kotołaka. Półludzka bestia,

podpierając się przednimi łapami, postąpiła dwa kroki wychodząc

z cienia.

- Kapitan Ksin? - spytał Jakub zniżonym głosem.

Kotołak nie zareagował. Kiedy po chwili znów zaczął iść, w jego ruchach dało się dostrzec narastającą sztywność. Spojrzenie zsunęło się

z postaci mistrza Jakuba i skierowało gdzieś w bok.

Nad resztkami ciała straconego czarnoksiężnika zawisł Szczątnik.

Coś w rodzaju bezkształtnej, srebrzystej pajęczyny łączyło fragmenty zwłok, które uległy Przemianie. Bezoka głowa chwiała się, jakby

za chwilę miała upaść na ziemię. Wydawało się, że jeden silniejszy

powiew wiatru wystarczy, by rozerwać tę istotę na kawałki, ale było

to mylne wrażenie. Szczątniki mogły, gdy zechciały, kruszyć kamienie i wrywać drzewa.

- Nędzna istoto, buntująca się przeciw sprawiedliwości - przemówił mistrz Jakub ignorując Ksina. - Niech srebro i siła zakłęcz na zawsze poskromią twą złość - wznosił rękę, by wykonać magiczny gest i w następnej chwili runął na ziemię uderzony kosmatym łbem.

Oczy kotołaka płonęły teraz upiornym, fioletowym światłem... Ksin walczył z przemożnym pragnieniem rozerwania kata na strzępy. Od lat nie odczuwał czegoś takiego! Przebudzone, demoniczne instynkty znów brały w posiadanie jego wolę. Miał pełną świadomość wydarzeń, ale stopniowo tracił władzę nad swoim ciałem.

- Kapitanie! - bardziej zdumiony niż wystraszony mistrz Jakub uderzył kotołaka płazem topora.

Dotyk srebra zapiekł żywym ogniem. Już od dawna ten metal nie sprawił Ksinowi bólu. Nie wiedział, co się z nim działo...

- Kapitanie, to urok! Zwalcz go! - krzyknął Jakub. - Potrafisz to!

Kiedyś już to zrobiłeś!

Te słowa zapewne przeważąłyby szalę, gdyby nie Szcząmik, który bezszelestnie spłynął na kotołaka, oplatając go swą niematerialną siecią. Kawałki trupa mocno przylgnęły do Ksina. Do mnie, zaszemrało w jego umyśle. Tańcz!

Wąwozem Niepogrzebanych wstrząsnął ryk, a potem zawodzenie zdziczałego kotołaka. Zakrzywione pazury uderzyły w stylisko topora, wrywając broń z ręki kata. Mistrz Jakub rzucił się do ucieczki.

Nie miałby najmniejszych szans, gdyby goniącej go bestii nie plątały się nogi. To jednak odwlekało moment rozerwania ofiary najwyżej

o kilkanaście uderzeń serca...

Mistrz Jakub nie zmarnował tego czasu. Biegając sięgnął za pazuchę, wydobyl niewielką puszczatkę i zagwizdał przenikliwie. Odpowiedziały mu równoczesny skowyt i chichot dobiegające z głębi Wąwozu. Nowy potwór wyłonił się z mroku i popędził śladem gnającego konwulsyjnymi zrywami kotołaka. Demon idący na pomoc Jakubowi wyglądał najpierw jak kłęb ciemności przetykanej pasmami półcienia, potem okazał się dwugłowym wilkołakiem.

-Wybacz kapitanie, ale nie dałeś mi wyboru - wydyszał Jakub.

- Odwołaj go! - krzyknął Rodmin rzucając czymś w kierunku Ksina.

Zaskoczony kat wpadł na maga. Ogromny słup czerwonego ognia

wytrysnął tuż przed kociołkiem, który siłą bezwładu przewalił się przez jego środek.

- Odwołaj go! - powtórzył Rodmin padając. - Natychmiast! - uderzenie o ziemię odebrało mu dech.

Magiczne płomienie strawiły Szczątnika. Demon rozpadł się na kilkanaście płonących fragmentów, które rozsypały się wachlarzem po

dnie Wąwozu. Kociołek przekoziółkował przez łeb wzbijając chmurę wapiennego pyłu i legł nieruchomo.

Dwugłowy wilkołek ryjąc pazurami w chrzęszczącym podłożu desperacko wyhamował tuż przed dogasającym, szkarłatnym kręgiem.

Obie paszcze rozwarły się na całą szerokość, jakby nabierając tchu...

Mistrz Jakub usiłując złagodzić upadek trafił łokciem w jakąś kość i całe prawe ramię sparaliżował mu obtękańczy ból. Mimo to zdołał lewą ręką unieść puszczalną do ust i dać umówiony sygnał.

Dwie pary rozjarzonych żółtych ślepi przygasały wyraźnie. Wilkołek płynnie zawrócił i potruchtał w ciemność. Po chwili zniknął z oczu.

Rodmin już się podniósł i teraz wyciągnął rękę pomagając wstać katu. Mistrz Jakub spojrzał mu w oczy.

- To mój brat - powiedział nie pytany. - Tylko tak...

- Zajmijmy się lepiej Ksinem - przerwał mu mag.

Wszyscy trzej doczekali świtu przy małym ognisku, kilkaset kroków od wylotu Wąwozu Niepogrzebanych.

- Gdyby nie urok, pomyślałbym o tym, że srebrny topór to za mało, by stawić czoło demonowi - mruknął Ksin. - Że trzeba czegoś jeszcze...

- Ukrywam go tutaj od lat - odparł Jakub. - Grabarze udają, że go nie widzą, a ja udaję, że nie widzę, jak oni kradną wapno. To dobry układ.

- Ale czy zgodny z Prawem? - spytał z przekąsem Rodmin.

Kat uśmiechnął się.

-Wbrew temu, co o mnie mówią, nie jestem ślepym wyznawcą Prawa - rzekł. - Jestem tylko człowiekiem...

-A jak to się stało? - odezwał się Ksin. - Czy to klątwa?

- Nie -Jakub pokręcił głową. - Dekart urodził się z dwiema głowami i nasz ojciec uznał, że Przemiana to jedyny sposób, by uchronić go od śmierci.

- Czemu właśnie w wilkołaka? - zagadnął Rodmin.

- Sądziłem, że to najwaleczniejszy z demonów, ale wyniku dzisiejszego pojedynku, gdyby do niego doszło, nie byłbym pewien. Słyszałem kapitanie, że zabijałeś już wilkołaki?

Ksin skinął głową.

-A wszystko to za sprawą dziennego widma... - stwierdził mag,

popadając w zadumę. - Nie doceniłem tego stwora... Obym nigdy

więcej nie popełnił podobnego błędu. I pomyśleć, że uważałem się

za największego z żyjących adeptów magii! Wybacz Ksinie, nie miałem prawa wytykać ci niedbałości. Sam zachowałem się równie nierozważnie.

- Nie mówmy już o tym - stwierdził kotołak. - Wygląda na to, że

wszyscy trzej jesteśmy siebie warci.

-Więcej szczęścia niż rozumu - skwitował Jakub.

- Tego właśnie wymaga od nas król! - roześmiał się Ksin. - Ale... -

spoważniał - jak to możliwe, mistrzu, że urok dziennego widma ciebie się nie imał? Wszak nie wytrzymały nawet najsilniejsze talizmany!

- Przecież to takie proste... - ziewnął Rodmin. - W nim nie ma

nienawiści.

3. Żywioły

Dwurzędowa, wojenna galera Cesarstwa Archipelagu Południowego sunęła ostrożnie w kierunku zatoki obramowanej urwiskami ostatniego, schodzącego w morze pasma Gór Pustych. Podoficer przy bębnie wybijał oszczędnymi ruchami rytm dla wioślarzy, odpowiadający

połowie pierwszego tempa. Na morzu granica rozchwianej magii była wyraźnie widoczna. Kilkaset kroków od brzegu fale załamywały się

w osobliwy sposób, znikwały lub przekształcały w wiry. Tu widać było

wyraźnie jak bardzo prawa natury zależały od magicznej struktury rzeczywistości. Galera z każdą chwilą zbliżała się do obszaru, w którym

nic nie było normalne.

-Wyglądało to, jakby rafy wędrowały po dnie... - mruknął kapitan

Vergen, bohater bitwy pod Radaganem, zerkając na stojącego obok

maga w błękitnej szacie. Czarownik z całą pewnością musiał być bratem-bliźniakiem tego, który po drugiej stronie Gór Pustych szykował

się właśnie do rozwinięcia magicznej Sieci. Jedynym różniącym ich szczegółem był widoczny pod nie dopiętym kaftanem wytatuowany na piersiach krab.

-Trzymać kurs - rzucił oschle czarownik, nawet nie spoglądając na kapitana.

Obszar niespokojnej wody znajdował się już w odległości strzału z łuku.

-Jeńców na pokład! - rozkazał mag.

Vergen przekazał polecenie, po czym spojrzął za rufę. W bezpiecznej odległości, na powierzchni mieniącego się złotymi błyskami morza

czekała cała potęga cesarskiej floty. Galery bojowe i holujące barki z desantem oraz zaopatrzeniem, skupione jedna przy drugiej, tworzyły posępne miasto. W sumie blisko dwieście jednostek. Po bokach nad ich

bezpieczeństwem czuwały "Bicze morza" - olbrzymie, dwukadłubowe

galery z trzema rzędami wiosł po każdej burcie. Na pomostach łączących kadłuby w dwóch poziomach stały balisty i katapulty.

Od gór dobiegł przeciągły, stłumiony grzmot. Sunące po niebie

chmury zmieniły nagle kierunek ruchu.

Na pokład wywleczono pierwszych jeńców. Na ten widok Mag-Krab

zszedł z nadbudówki na rufie i ruszył na dziób. Kapitan Vergen w milczeniu podążył za nim.

Przeznaczonym na ofiary nieszczęśnikom jeszcze wczoraj uwiązano do szyj kamienie. Chodziło o to, by mieli czas oswoić się z losem

i nie zakłócili zakłębłą swą desperacją i zwierzęcym strachem. Teraz,

po nocy spędzonej na rozmyślaniach, wszyscy ze zgaszonym wzrokiem

czekali na dopełnienie się przeznaczenia:

Mag-Krab wyjął spod szaty pęk niewielkich amuletów wraz z rzemieniami i przywiązał jeden do czoła pierwszego z brzegu jeńca, potem nakreślił palcem na jego plecach zawiły znak i skinął na eskortę. Czterej żołnierze porwali pobladłego Ronijczyka za ręce i nogi i błyskawicznie wyrzucili za burtę. Nawet nie krzyknął.

Galera wpłynęła na niebezpieczne wody.

Chwilę później za burtę wypadła druga ofiara, potem trzecia i następne. Za ich sprawą powierzchnia morza w najbliższym sąsiedztwie

statku przybrała normalny wygląd. Gdy utopiono już wszystkich jeńców, Krab nakazał zaprzestać wiosłowania.

- To stary piracki sposób - odezwał się Vergen. - Nie starczy na długo.

- Zaiste niewiele wiesz kapitanie o magii morza - rzekł mag nie kryjąc pogardy.

Vergen w milczeniu przełknął zniewagę. Gdyby nie to, że instrukcje dotyczące tej wyprawy otrzymał wprost od samego cesarza, ten

morski nekromanta już dawno zawisłby na dziobie. On - kapitan Vergen - brał udział w wielu bitwach morskich i nade wszystko brzydził

się czarownikami, których rzemiosło polegało na zakłócaniu spokoju

poległych marynarzy. Poza tym wciąż brzmiały mu w uszach przeraźliwe krzyki dwunastu dziewcząt, które Krab trzymał w jednej z przydzielonych mu kajut.

- Przygotować platformę - rzucił mag.

Vergen skinieniem głowy potwierdził rozkaz. Trzech majtków ruszyło do zaimprovizowanego dźwigu, na który przerobiono wczoraj

główny maszt galery Kilkunastu innych wydoostało z ładowni kwadratową platformę, szeroką na dwanaście łokci, i ułożyło ją na pokładzie.

Do rogów platformy przywiązano opuszczone z dźwigu łańcuchy, po

czym marynarze stanęli pod burtą i chwycili liny służące do obsługi

całego urządzenia,

- Niech zawiążą sobie oczy! - rozkazał Krab - a reszta pod pokład.

Nikt nie powinien tego widzieć.

- Nawet ja? - syknął Vergen.

Mag spojrzął na niego przelotnie.

-Jeśli uważasz, kapitanie, że nic nie zdoła zmącić twoich zmysłów,

zostań zatem - stwierdził i ruszył w stronę rufy. Po chwili zniknął

w nadbudówce.

Vergen splunął za burtę, a następnie zajął się wypełnieniem ostatniego polecenia maga. Osobiście sprawdził, czy pozostali na pokładzie

marynarze zawiązali sobie oczy jak należy. Tę czynność przerwały dźwięki fletu.

Grał Krab. Właśnie z instrumentem w dłoniach stanął w drzwiach, po czym wkroczył na pokład. Za nekromantą wybiegł roztańczony korowód półnagich dziewcząt. Wszyscy ruszyli w kierunku leżącej na pokładzie platformy.

Vergen przez chwilę nie mógł pojąć, co właściwie miałyby zmącić jego zmysły. Patrzył z rosnącym zainteresowaniem i nagle zabrakło mu tchu. Zobaczył...

Tancerki nie trzymały się za ręce, jak pierwotnie osądził. One nie miały dłoni, a kikuty rąk zrosnięte ze sobą za sprawą czarów sprawiały, że wszystkie kobiety tworzyły jedno ciało. Głowy o zamartwych twarzach miotają się rytmicznie, powiewając włosami. Oczy patrzyły martwą czernią źrenic lub bielą wywróconych białek.

Krab, wciąż grając, minął zsiniałego kapitana i zaczął okręzać platformę sprawiając, że dwunastka tancerek znalazła się na niej. Wtedy szybkim ruchem odjął flet od ust i rzucił go pomiędzy płaszące niewolnice magii.

Instrument grał nadal.

Ta muzyka i tupot bosych stóp zdawały się rozsadzać głowę Vergena.

- Do góry! - krzyknął mag do nasłuchujących marynarzy. Pociągnęli ochoczo. Zatrzeszczały bloki i platforma zawisła nad pokładem.

- W bok! - ramię dźwigu przesunęło się nad burtę. Demoniczny taniec odbywał się teraz dziesięć łokci nad powierzchnią morza. Krab postąpił krok, wyjął zza pasa sztylet i ciął jedną z lin.

Trzymający ją majtkowie tracąc gwałtownie równowagę polecili do tyłu. Platforma przechyliła się i zawisła pionowo, a woda w potężnym, białym rozbryzgu zamknęła się nad tancerkami i fletem.

Marynarze klnąc zrywali opaski z oczu. Kapitan Vergen stał z zaciśniętymi pięściami jak wrośnięty w pokład.

- Platformę do ładowni! - polecił Krab i podszedł do kapitana. -

Teraz patrz! - rozkazał wskazując morze.

Vergen posłusznie obrócił głowę.

Rozległ się niewyraźny syk i od miejsca, w którym zatopiono zrośnięte ofiary, tuż pod powierzchnią wody w kierunku lądu pomknęło coś jak olbrzymi morski wąż. Za moment, z przeciwnej strony uderzył w morze niewidzialny gigantyczny bat. Zabrzmiał głuchy grzmot

i wyraźnie dało się odczuć wibrację morskiego dna.

-Zadzierzgasię Sieć-oznajmił mag z uniesieniem.-Mój brat także zakończył dzieło!

Już nie tylko w najbliższym sąsiedztwie galery, ale jak okiem sięgnąć załamania i wiry na powierzchni morza przybierały wygląd zwykłych fal i bałwanów. Chmury nad Górami Pustymi układały się w normalne obłoki, których ruch zależał jedynie od kaprysów wiatru. Rzeczywistość na oczach świadków godziła się z naturą.

Vergen odzyskał panowanie nad sobą i kiedy teraz spojrział na Kraba w oczach kapitana pojawił się szczerzy podziw. Nekromanta odpowiedział ciekim uśmiechem i skinął głową.

- Myśle czcigodny Vergenie, że powinniśmy zawiadomić flotę.

- O tak - przytaknął skwapliwie kapitan. - Zawiesić flagę! - zawołał, po czym znów zwrócił się do maga:

- Mistrzu, przyjmij wyrazy

mego najszczerzego uznania.

A więc to prawda, że Sieć potrafi poskromić nie tylko siły natury;

ale i ludzkie serca, myślał Krab, patrząc na gnącego się przed nim

w ukłonie Vergena. Ja i ty, mój bracie Pająku, stanowimy zatem siłę,

której nie oprą się ludzie ani żywioły!

Kilka minut później na maszcie galery załopotana szkarłatna bandera. Na ten znak oczekujące na pełnym morzu okręty zaczęły podnosić kotwice. Groźne i potężne "Bicze morza" usunęły się na boki i do tyłu. Spomiędzy gęstwiny statków na przód wyszły pękate barki, po czym cała flota rozwinęła się w szyku do desantu. Już wkrótce

na kamienistej plaży cesarski notariusz ogłosił, iż od dzisiejszego dnia po wsze czasy Góry Puste stają się własnością i dziedzictwem Jego Majestatu Cesarza Archipelagu Południowego Kahara V.

Mag-Pająk odstąpił od niewielkiego ołtarza, na którym złożył

w ofierze homunkulusa urodzonego przez żelazną kobietę, a następnie wytarł dłonie o kraj szaty i odwrócił się.

Wlokun pod postacią kobierca z ludzkich kości trwał w bezruchu

trzy kroki za magiem. Pająk oceniwszy jednym spojrzeniem rozmiary demona ruszył wprost na niego.

Pożółtkie kości drgnęły uniesione przez niewidzialną falę i z klekotem rozsunęły się na boki. Przed nadchodzącym magiem otworzyła

się wąska ścieżka. Pająk bez pośpiechu przeszedł w poprzek Wlokuna i ruszył przed siebie. Dróżka wśród puszczeli, żeber i czerepów zamknęła się zaraz za nim. Wlokun zaszumiał zgrzytliwie i niczym tren

upiornego płaszcza podążył posłusznie za swym panem.

Obaj zniknęli w górach.

4. Wampirza gorączka

- Panie! Kotołak zawiódł! - oznajmił stanowczo główny świętca Katimy, chudy i zasuszony jak mumia świętobliwy Bero.

Król Redren podniósł wzrok znad dokumentu leżącego przed nim

na biurku i nic nie odpowiedział.

- Przyznasz to, wasza wysokość - kontynuował świętca. - Udzielono ci, panie, złej rady... - Bero przeniósł spojrzenie na pobladłego

Rodmina. - Doskonale rozumiem królewskie intencje w tej sprawie.

Demony wszelkiej maści stanowią istotne zagrożenie i oczekiwałeś, mój panie, że jeden z nich, sprawiający wrażenie oswojonego, odda ci w tym względzie znaczne usługi...

- Zachowanie Ksina nie ma nic wspólnego z żadnym oswajaniem!

- przerwał mu nadworny mag. - On jest panem samego siebie!

- Czy zawsze? - zapytał podchwytliwie arcyświętca. - Czy przysięgniesz mości magu, że kotołak nie znalazł się zeszłej nocy pod wpływem uroku?

- Ale nie pozwolił, by ten urok owładnął nim całkowicie - odparł

Rodmin.

- Kres urokowi położyła dopiero twoja interwencja, jak sam przyznałeś. Do czego mogłoby dojść, gdyby nie to? Czyż mistrz Jakub nie znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie? Zaprzeczasz, mości magu?

- Nie... - Rodmin pochylił głowę.

- Wbrew Prawu Czystości, wbrew obyczajom, a wreszcie wbrew

zdrowemu rozsądkowi, przyjąłeś panie pod swój dach demona - Bero znów zwrócił się do króla. -
Mogę pojąć, iż czasem prawo musi

ustąpić przed korzyścią, lecz jaką korzyść odniosłeś, wasza wysokość,
z tego kotołaka?

- Za wcześnie na to - wtrącił Rodmin. - Ksin jest dowódcą straży
zaledwie od trzech miesięcy.

Król uciszył go niecierpliwym machnięciem.

- Za długo - odparował zimno świętca. - Nie przeczę, iż kotołak oddał już pewne usługi miastu, ale
według moich wiadomości szło wtedy

o obronę jego kobiety, na Reha, cóż to za nieszczęsne stworzenie, lecz nie zbaczajmy z tematu.
Dlaczego, wasza wysokość, chcesz nadal polegać na tej bestii? Robiłeś to do tej pory i mistrz Jakub
omal nie zginął?

Redren uważnie wpatrywał się w arcykapłana.

- A te okropności unicestwione za sprawą mości Rodmina - podjął Bero - czy nie zaległy się tutaj za
sprawą kotołaka?

- On ich nie sprowadził! - zaproponował Rodmin.

- Sprowadził przez własne zaniedbanie - uciął świętca. - Nikt nie
zdoła zaprzeczyć, że kotołak popełnił kilka poważnych błędów.

- Przyznasz to? - Redren spojrzał na maga.

-Tak... - Rodmin spuścił wzrok.

- Lecz czemu ty, świętobliwy Bero - król zwrócił się do świętcy -
tak bardzo się tymi błędami przejmujesz?

- Najpierw dlatego, wasza wysokość, iż nie chcę, by doszło do większego nieszczęścia. Drugi powód
jest taki, iż wierzę w to, czego

strażnikiem mnie uczyniono. Prawo Czystości nie jest starym zabobonem. Nie bez słuszności
orzeczono w nim, że wszelkie twory Onego są nieużyteczne, krwiożercze i głupie. Przypadek tego
nadwornego kotołaka jest jeszcze jednym potwierdzeniem owej starej prawdy.

- Czego chcesz zatem? - spytał król.

- Pozbądź się go, wasza wysokość.

- Panie daj mu jeszcze jedną okazję dowiedzenia swej przydatności! - zawołał gorączkowo Rodmin.

Redren sprawiał wrażenie, jakby nie usłyszał tej prośby. Cały czas

patrzył na świętcę.

-Jakie jeszcze argumenty chowasz w zanadrzu, świętobliwy Bero?

- zapytał król. - Czy teraz uciekniesz się do szantażu, czy pohandlujemy urzędami?

- Och, wasza wysokość, polityka to delikatna materia... - odparł

wymijająco arcykapłan. -Wszakże ufam, iż mój król nie zamknie swego umysłu na rozsądne argumenty, których tu użyłem. Nie tylko prawo jest po mojej stronie, ale i zwykła logika.

Zapadło długie milczenie.

- Więc dobrze - przerwał je wreszcie Redren. - Z tą chwilą Ksin

przestaje być dowódcą gwardii, jak również przestaje zaliczać się w poczet jej członków. Wraz z tym umniejszeniem rangi otrzymuje całkowity zakaz wstępu na królewskie pokoje.

-I wygnany? - podsunął usłużnie Bero.

- Może jeszcze spalę go na stosie za to, że chciał mi dobrze służyć?

Świętca zrozumiał, że posunął się za daleko.

- Wyrok mojego króla jest mądry i wielkoduszny - zapewnił pospiesznie.

- Na razie Ksin i jego żona pozostaną zwykłymi mieszkańcami pałacu. Potem pomyśle, co dalej.

- Kto mu to powie? - spytał półgłosem Rodmin.

- Ty - burknął król dając znak, że audiencja skończona.

- Panie... - spróbował jeszcze mag.

- On zawiódł - uciął dyskusję Redren.

Rodmin zgiął się w ukłonie i opuścił królewski gabinet. Odczekawszy nieco dla podkreślenia swego dostojęstwa, główny świętca Katimy uczynił to samo.

Na korytarzu na arcykapłana czekał białowłosy Ben - przełożony cechu zabójców upiorów. Bero ujął tępiciele pod łokieć i obaj szepcząc

gorączkowo ruszyli przed siebie. Rodmin udał się w przeciwną stronę.

- Nadal jesteście pod królewską opieką - zakończył relację mag.

Ksin stał jak wmurowany na środku komnaty, siedząca na sofie Hanti odwróciła głowę i patrzyła w okno.

- Czy to polityka? - zapytał kotołak.

-Niełatwo zmusić Redrena do czegokolwiek, jeśli on tego nie chce

- odparł Rodmin. - Intryga świętców i tępicieli nie była decydująca.

To ty zawiodłeś.

-Wiem... - stwierdził głucho Ksin. -Tylko jak?

- Redren chce mieć dowódcę straży, który nie zadaje sobie takich pytań, a po prostu wie co ma robić.

-Ale teraz, co my... - Hanti bezradnie pokręciła głową.

Ksin zacisnął pięści. Na grzbietach jego dłoni pojawiła się czarna sierść. Spostrzegł to Rodmin.

- Uwważaj! - syknął. - Tracisz panowanie nad postacią!

Kotołak rozluźnił mięśnie.

- Hantińjo - mag zwrócił się do dziewczyny. - Królewska łaska jest

jak ocean - przyływa i odpływa. Skoro Redren chce byście pozostali w pałacu, zapewne za jakiś czas da Ksinowi nową szansę. A do tej

pory - spojrzał na kotołaka - mógłbyś przeczytać kilka ksiąg i nauczyć się zmieniać postać wtedy, kiedy ty będziesz miał na to ochotę. Gdy tracisz panowanie nad sobą, wystarczy najprostszy urok, by zrobić z ciebie bestię.

Ksin zmarszczył brwi.

- Dość ksiąg znajdzie się u mnie, a ćwiczenia możesz zacząć od zaraz - zakończył Rodmin.

Ambasador Rgbar - Głos i Majestat Kahara V na dworze Redrena III -

odprawił całą służbę i osobiście zarygłował wejścia do swoich apartamentów. Raz jeszcze upewnił się, że został sam, sprawdzając szafy i inne przydatne dla szpiegów zakamarki, po czym udał się do swej sypialni.

Słońce zaszło kwadrans temu i za oknami z każdą chwilą gęstniał

mrok. Macki ciemności przechodzące przez szpary w zasłonach wewnątrz komnaty pęczniały gwałtownie wypełniając całą przestrzeń.

Ambasador zapalił jedną świecę, a następnie zdjął z siebie całe

wierzchnie odzienie, pozostając jedynie w koszuli. Tej dostojny Rgbar

nie pozbył się nigdy dotąd w obecności służby czy łaźiebnych. Tłumaczył, iż kryje ona szpetne, bitewne blizny, których nie chce wystawiać na niczyj widok.

Kryła znacznie więcej.

Rgbar stał chwilę nieruchomo, po czym zdecydowanym ruchem ściągnął długą tkaninę przez głowę. Na pierwszy rzut oka jego ciało wyglądało jak nabite gwoździami. Brzuch, piersi, ramiona i nogi co kilka cali znaczyły łebki wbitych do oporu ćwieków. Jednakże nie były

to gwoździe, lecz amulety.

Ambasador podniósł ze stolika wąski sztylecik i podważył ostrzem

pierwszy z wgniecionych w ciało artefaktów. Amulet upadł na podłogę, pozostawiając po sobie głęboką dziurę w skórze i mięśniach. Nie

zaczzerwieniła się w niej ani kropelka krwi.

Dostojny Rgbar odłożył na chwilę sztylet i zerwał czarną zasłonę,

okrywającą stojące w sypialni lustro. Potem na podłogę zaczęły spadać kolejne wydłubane z ciała talizmany.

Po wyłuskaniu trzeciego artefaktu odbicie ambasadora straciło

ostrość. Wyrazistą twarz Południowca skaził starczy grymas. Z każdym

kolejnym odrzuconym amuletem lustrzany wizerunek dostojnego

Rgbara stawał się coraz bardziej mglisty, a w końcu w zwierciadle widać

było już tylko zawieszony w powietrzu talizmany i sztylet zbliżający

się do nich po kolei.

Wydawałoby się, iż ambasador zniknął, lecz on był w komnacie nadal, tylko że teraz nikt nie odróżniłby go od wychudłej, żółtawej mumii. Jego ruchy stały się konwulsyjne i szybkie. Póttaneczne kroki rzucały nim po całej sypialni.

Ostatni amulet ukryty był pod językiem. Gdy istota nazywana Rgbarem się go pozbyła, z jej dziąseł wysunęły się wampirze kły. Demon

zwinął się błyskawicznym piruecie i skoczył do okna. Szczękniętą zamek, a tupot stóp na gzymsie roztopił się wśród innych odgłosów pałacowej nocy.

Pótnagi Ksin, zajęty ćwiczeniem świadomego wywoływania Przemiany, dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że coś mu bardzo

przeszkadza. W pierwszym momencie uznał, iż to jego własne emocje, więc spróbował je opanować. Bez rezultatu. Przyczyna niepokoju była tak niewiarygodna, że umysł kotołaka nijak nie chciał przyjąć

tego do wiadomości.

Czuł Obecność!

Niezwykle dokładnie i wyraźnie! Wampir wyłonił się z niebytu tak płynnie i blisko, jakby właśnie zrodziła go sfera Onego. To było zaledwie sto kroków stąd! Demoniczna Obecność natychmiast po

zaistnieniu zaczęła się szybko przemieszczać. Ksin z łatwością określił kierunek i porównawszy go z zawartym w pamięci układem pałacowych komnat skoczył

na równe nogi. Wpadł na krużganek w biegu naciągając koszulę.

Wampir sunął prosto do królewskich apartamentów.

Po niecałej minucie szalonego pędu kotołak w rozchełstanej koszuli dopadł pierwszego wewnętrznego pierścienia straży.

- Stój, kapitanie!

- On już tu nie rządzi! Stać!!!

Nie było czasu tłumaczyć. Ksin szarpnął skrzyżowane przed nim

drzewca halabard i całym ciałem uderzył w drzwi. Zamek puścił z trzaskiem, a kotołak wleciał do rozległego przedpokoju. Przystanął na moment, łapiąc równowagę.

Z okna przed biegnącym po gzymsie wampirem wychyliła się kobieta. Momentalnie uderzył zębami w wyciągniętą szyję. Był głodny.

Haust krwi sparzył przełyk eksplozją rozkoszy, lecz nie miał czasu na

więcej. Wściekłym szarpnięciem wyrwał ofiarę z komnaty i zawinąwszy nad głową cisnął w ciemność w dół. Już pędził dalej.

Drogę nieomylnie wskazywał mu kunsztowny pierścień na palcu

Redrena - dar od samego cesarza Kahara - który na znak dobrej woli władca Suminoru zobowiązany był przez trzydzieści dni nosić na

serdecznym palcu lewej dłoni...

- Król w niebezpieczeństwie! - wrzasnął Ksin do gęstniejących przed nim straży.

Gwardziści zawahali się i zaczęli oglądać na siebie.

- Gdzie jest oficer?! - zawołał kotołak nieco zwalniając kroku.

- Setnik! Setnik! - krzyknął ktoś gorączkowo.

Zamiast oficera gwardii z pobliskiej komnaty wyszedł tępiciele Bert.

- Co ta bestia tu robi?

- Do króla zbliża się wampir! - odkrzyknął Ksin.

Oblicze białowłosego wykrzywił fanatyzm.

- Czyż nie widzicie, że znów opętano go klątwą?! - zaskrzeczał do

straży. - Spójrzcie! Ma pianę na ustach! - wyciągnął oskarżycielsko rękę wskazując stężałą twarz kotołaka.

Ksin runął naprzód.

- Brać go!!! - wydarł się histerycznie tępicieł.

Dwóch gwardzistów w pełnych płytowych zbrojach wręcz wyfrunęło pod sufit. Wśród wrzasku i huku pękającego drewna z przeraźliwym łoskotem zwałili się na posadzkę.

Roztrąceni ludzie i rozbijane drzwi - te obrazy zlały się w umyśle kotołaka w jedną magmę. Wzburzenie, nadludzki wysiłek i pulsujący skroniach napór Obecności zrobiły swoje. Za progiem był już naprawdę bestią. pozostał jeszcze trzeci, ostatni krąg straży.

Ci gwardziści nie wiedzieli o niczym z wyjątkiem tego, że chronią króla i musieli polegać jedynie na świadectwie własnych oczu. A to, co ujrzeli przed sobą, dawało się wytłumaczyć tylko w jeden sposób.

Ksin nie chciał zabijać. Jednak wobec atakującego strażnika prawa łapa sama wzniosła się do błyskawicznego ciosu. Stalowy hełm puścił niczym papier. Żołnierz poleciał w bok i na wznak. Kotołak stanął jak porażony na widok zalanej krwią twarzy.

W swojej pracowni Rodmin trzymał w ramionach roztrzęsioną Hanti i z wysiłkiem starał się wyłowić jakikolwiek sens z roju bezładnych,

pourywanych słów. W końcu zrozumiał tyle, że Ksin ćwiczył Przemianę, a nagle coś się z nim stało i wybiegł jak obłąkany. W pierwszym odruchu mag, tak samo jak Hanti, pomyślał o uroku dziennego widma...

-Zostań tu! - rozkazał stanowczo. - I zamknij za mną drzwi!

Na korytarzu, po kilkudziesięciu krokach, Rodmin usłyszał rejwach w królewskich apartamentach. Klnąc, z rozpaczą pospieszył w tamtą stronę.

Okno za plecami Redrena wyrzuciło się nagle do środka. Z ołowianych ramek wypadło kilkanaście gromów szkła i z łoskotem rozleciało po posadzce. Potem do komnaty wpadł rozmyty, brunatny kłęb rwąc pogiętą ołowianą kratę jak zetlałą koronkę i rozprostował się natychmiast przybierając ludzką postać.

Niesamowita szybkość ruchów oraz ciało poznaczone śladami zatrzymanego rozkładu nie pozostawiały żadnych wątpliwości, co do demonicznej natury intruza.

Więc to tak..., zdążył tylko pomyśleć władca Suminoru. Wampir pomknął w przód. Nie dało się dostrzec, kiedy się sprężył do skoku. Impet zderzenia rzucił Redrena na biurko. Zmieciony z blatu kałamarnic

obryzgał czarno ścianę.

Król był krzepkim mężczyzną w sile wieku, lecz w starciu z tworem Onego miał tyle samo szans, co niemowlę w walce z dorosłym.

Obie ręce Redrena zostały unieruchomione w jednej dłoni demona, jak zgniecione żelazną obręczą. Wolną ręką wampir uchwycił i przekręcił głowę monarchy i natychmiast ukąsił szyję. Działał z mocą, prędkością i niezawodnością rozpędzonej maszyny. Niewiele obszedł go

przeróżliwy kobiecy krzyk tuż obok. Dokładnie wykonywał rozkazy

zapisane w ostatnim talizmanie, wbitym najgłębiej w jego piersi. Dopiero potężna fala obecności zakłóciła ten doskonały rytm poleceń i ich realizacji. Coś pękło wyzwalając wir czystej nienawiści i instynktu samozachowawczego.

Rodmin utknął w kipiącym paniką tłumie. Wszyscy wrzeszczeli

i przepychali się bez składu i ładu. Najbardziej absurdalne było zachowanie gwardii, której jedne oddziały zatrzymywały podejrzanych,

czyli każdego napotkanego, a inne rozpędzały zbiegowiska. Wygłoszone przypadkiem teorie czy domysły na temat tego, co się działo, zyskiwały natychmiast szerokie rzesze wyznawców. W jednym końcu korytarza krzyczano o śmierci króla, na schodach o dławieniu kolejnego spisku karyjskich szpiegów, zaś w krużgankach o najściu na pałac hordy upiórów. Przede wszystkim rzucał się w oczy fakt, iż Redren nie zdążył na miejsce Ksina powołać nowego dowódcę gwardii.

W powszechnym rozgardiaszu maga aresztowano dwukrotnie i dwakroć udało mu się umknąć w zamieszaniu, nad którym nikt nie był w stanie zapanować. W najbliższym sąsiedztwie królewskich apartamentów

Rodmin napotkał wreszcie znajomego oficera gwardii, który wprowadził go do środka. Najpierw natknęli się na przełożonego tępiciele. Brat

Bert przesłuchiwał rozhisteryzowaną pokojówkę, czy też królewską nałożnicę.

- Kotołak rzucił się na króla! - naciskał Bert.

- Rzucił... rzucił... - powtarzała dziewczyna łkając.

- Skąd wiesz, że to kotołak? ! - wtrącił ostro Rodmin. Bert spojrzał nań z wściekłością.

- Zęby miał... - wykrztusiła.

-Wszyscy widzieli, że kotołak wdarł się do królewskiej sypialni! -

zawołał Bert z furią. Powiódł wzrokiem po gwardzistach towarzyszących magowi i pohamował się z trudem. Mimo wszystko to on był tu

obcy, nie Rodmin.

- Gdzie król?! - mag postanowił przerwać tę farsę.

Tępicieł zaciął usta.

-W sypialni - pośpieszył z wyjaśnieniem obecny tu setnik Zelito.

- Jego świątobliwość, czcigodny Bero, jest tam również razem z medykiem...

Rodmin pobiegł. Straż przed drzwiami sypialni pośpiesznie usunęła się na bok. Mag wpadł do środka. Dwaj pochyleni nad łóżem mężczyźni odwrócili się gwałtownie.

- Co z nim? - Rodmin cisnął precz etykietę.

Główny świętca Katimyjuz otwierał usta, by zganić surowo taki brak

szacunku, lecz mag bezceremonialnie odepchnął go na bok. Dostojnik spłoszył.

Król leżał sztywny, nieprzytomny, z zielonkawą pianą na ustach. Rodmin, który cały czas podświadomie oczekiwał, że ujrzy poszarpane pazurami, krwawe strzępy odetchnął z ulgą. Władca Suminoru miał tylko

jeden, spowijający szyję opatrunek. Mag zaczął natychmiast odwijać

bandaże.

- Co robisz, panie?! - zawołał medyk.

- Zabijesz go! - syknął wściekle świętca.

- Chce wiedzieć, co mu jest! - warknął Rodmin.

- Kotołak rzucił się naszemu panu do gardła - oznajmił z namaszczeniem Bert.

- Gdyby to była prawda nie byłoby czego bandażować! - w głosie

maga zagotowała się wściekłość. W tej chwili ujrzał ślad ukąszenia.

- To wampir! - wybuchnął. - To chcieliście ukryć?!

- Na króla rzucił się opętany urokiem kotołak - powtórzył z uporem świętca. - Są na to dziesiątki świadków.

- Którzy łajno widzieli! - uciął mag. - Ksin wyczuł i spłoszył wampira, zanim ten zdążył zabić króla.

- Nikt nie widział żadnego wampira - zaproponował świętca.

- To się jeszcze okaże! Tamta dziewczyna, kiedy wreszcie przestaniecie jej wmawiać zeznania, z pewnością powie prawdę.

- Brat Bert jest bardzo doświadczonym...

-Jest skończonym łajdakiem! Nawet najgłupszy medyk bez trudu

rozpozna wampirzą gorączkę - Rodmin wskazał króla i spojrzał z ukosa na towarzyszącego im doktora. Ten spuścił wzrok...

- Mówiłem to - westchnął ciężko.

- Ja decyduję, co jest prawdą, co nie - w oczach dostojnego Bero zabłyśł łód. - Gdy król jest nieprzytomny, małoletni, lub w niewoli, pierwszy świętca Katimy...

- Dość tych bredni! Nikt cię nie posłucha, jeśli wyjdę i krzyknę, że tępiciele w zмовie z tobą nasłali na króla wampira. Każdy

mieszczuch w Katimie wie, że te łajdaki używają wampirów do takiej roboty.

- Nie odważysz się - wycodził Bero.

- Nie wyjdiesz stąd żywy - ostrzegł spokojnie Rodmin. - Gwardia tylko marzy o tym, by ktoś jej wskazał wroga...

Arcyświętca rozważył szybko wszystkie za i przeciw.

- Trzeba przeprowadzić śledztwo - rzekł wreszcie.

- Bardzo rozsądnie.

- Lecz jeśli Redren umrze, strzeż się!

Mag sposepniał i popatrzył na króla.

- Na dwoje wiedźma wróżyła... - mruknął. - To przede wszystkim zależy od tego, czy uda się zabić wampira. Gdzie Ksin?

- Tępiciele już go szukają - odparł Bero.

- Odwołaj ich!

Świętca uśmiechnął się szyderczo.

-Jakże mogę odwołać tępiciele tropiących stwora, który zaatakował

samego króla? - zapytał drwiąco. - Ogłaszaj co chcesz, ale oni już wiedzą swoje. Wampir, czy kotołak, to im jedno.

Rodmin zacisnął pięści.

- Bo to istotnie żadna różnica - zakończył wyniośle arcyświętca.

5. Ogniste maszty

Dargon, księżę Kemru, odziany w jaskrawoczerwone szaty, stał w oknie sali posłuchań, spoglądając na morze. Horyzont zakreślony równą, ostrą linią trwał czysty i jasny. W dole, w porcie trwała gorączkowa krzątanina. Do wyjścia w morze szykowały się sławne, suminorskie trójrzędowce taranujące.

Księżę Kemru w milczeniu przetrawiał otrzymaną dziś rano wiadomość o dostrzeżeniu cesarskich "Bieży morza" w odległości zaledwie

dnia żeglugi od ujścia Rzeki Krzemiennej. Czyżby szykowała się kolejna blokada jedyne go, suminorskiego portu nad Oceanem Południowym? Bez pomocy Ronu było to mało prawdopodobne. Tymczasem

ostatnio stosunki Wyspiarzy i Ronijczyków były aż nadto złe. Ci drudzy coraz wyraźniej skłaniali się ku sojuszowi z Suminorem. Więc może dlatego? Czyżby chodziło o próbę zmiżdżenia jednej ze stron nim

sojusz zdoła przybrać realny kształt? "Bicze morza" mogłyby uczynić z Kemru morze ruin i pogorzeliisk. Mogłyby... gdyby zdołały zbliżyć się do miasta na odległość strzału z katapulty. Suminorskie galery z trzema rzędami wiosel i wymiennymi taranami nigdy jeszcze do tego nie dopuściły. Zawsze ilekroć zdołały podejść i uderzyć z boku, cesarski dwukadłubowiec stawał się tylko stertą drewna, unosząc się

behradnie na powierzchni morza. Cesarze Archipelagu Południowego i ich admirałowie wiedzieli o tym dostatecznie dobrze.

Dotychczas ta rozgrywka nie była warta stawki. Cóż znaczył jeden, choćby i najpotężniejszy suminorski port w porównaniu z rozległymi, ludnymi wybrzeżami Ronu? Dotąd tam kierowane były wysiłki

Wyspiarzy zmierzających do uchwycenia trwałego przyczółka na Kontynencie. Czyżby coś się zmieniło?

Księżę Dargon w zadumie obrócił w palcach wiszący na piersiach, trójkątny talizman, ostrzegający przed zbliżaniem się tworów Onego.

Cóż, on jako namiestnik Kemru uczynił co należało. Trójrzędowce wyjdą wkrótce na ocean. Tylko z wysłaniem gońców z wieściami Dargon

zwlekał jeszcze, czekając aż sytuacja bardziej się wyklaruje.

Gdzieś za Dargonem otworzyły się drzwi i rozległy kroki. Księżę zerknął za siebie, ujrzał korpulentnego burmistrza Gesrena i powrócił do kontemplacji oceanu.

- Panie, mam dziwne wieści - oznajmił Gesren stając u boku księcia.

-Tak?

-Myśliwi polujący na brzegu Bezimiennej Rzeki dostrzegli po drugiej stronie obce wojsko.

- Co mówisz?! - zdumiał się Dargon. - Armia w Pustych Górach?

To niemożliwe! Twoi myśliwi mieli zwidy.

- Panie, ja ich znam, to roztropni ludzie. Sami najpierw pomyśleli o tym samym. Dlatego obserwowali drugi brzeg przez kilka godzin, by zyskać pewność. To Wyspiarze. Musieli wysadzić desant w Pustych Górach.

-jak to możliwe?! Przecież magia...

- Musiało się coś zmienić. Jeden z naszych czarowników wspominał wczoraj, że w Górach doszło do burzy magicznej.

- Ilu ich jest? - Dargon zaczął uświadamiać sobie morderczą skuteczność pułapki, która właśnie zamykała się wokół nich.

- Myśliwi doliczyli się prawie legionu.

- Pięć tysięcy i będą tu jutro o świcie... - książę pokręcił głową.

-Wysłałem zwiadowców, by mieli Wyspiarzy na oku.

- Musimy przygotować się do oblężenia. Ile mamy wojska do obsadzenia murów?

- Za mało - stwierdził krótko Gesren. - Skoro okręty wyjdą z portu...

- Nie wyjdą. Odwołuję rozkazy. Weź tylu marynarzy i galerników ile ci trzeba.

- A "Bicze morza"?

- Nie zbliżą się. Jeśli Wyspiarze jakimś sposobem zajęli Puste Góry, Roń nie będzie czekać na dopełnienie przymierza z nami. Wyspiarze

na kontynencie to dla nich nóż na gardle. Cała cesarska flota musi teraz rozpocząć blokadę Radaganu.

-A jeśli nie zaczną?

- Ronijczycy też mają oczy i rozum. Uderzą, gdy tylko spostrzegą, co się święci.

- Lecz do tej pory...

-Ty utrzymasz Kemr-uciął dysputę Dargon.-Ja natychmiast wyruszam do Diny. W ciągu miesiąca powinienem zebrać dwa legiony.

Z tym wytrwamy aż król nadciągnie z całą potęgą.

- A nasza flota? - spytał cicho Gesren.

Obaj bez słowa popatrzyli na port. Dziesiątki małych i wielkich okrętów wojennych wciąż szykowało się do wyjścia w morze. Na nich i wokół nich uwijały się tysiące marynarzy, tragarzy i żołnierzy piechoty morskiej.

- Spalić - rzekł książę.

Sześć godzin później nadchodzący zmrok odpędziły pierwsze rozlewające się z wolna kobierce ognia. Żółte jęzory wspinały się coraz

wyżej aż ogarnęły maszty. W górę Rzeki Krzemiennej odplynęła tylko część średnich jednostek o niewielkim zanurzeniu, dla których starczyło miejsca w małych portach Diny i Darpy Reszta oraz główny trzon floty Suminoru - potężne trójrzędowce niezdolne pokonywać rzecznych płyczn i raf oddane zostały na pastwę płomieni.

Port stawał się wnętrzem pieca. Do wyższych komnat kemrskiego

zamku nie docierał huk ognia ani ponury pomruk stłoczonych na nabrzeżu załóg patrzących na zagładę swoich okrętów. Tylko łuna krwi

stu złocistych żagli łopoczących w lesie masztów, upodobiła stojącego w oknie księcia do jeszcze jednego płomienia. Cienie jakby

przeżalone szaleństwem żywiołu niespokojnie kryły się w kątach komnaty i zakamarkach portu i miasta.

Dla Dargona była tylko cisza, pulsujące żółte światło i głęboki, przenikający duszę smak goryczy. Nigdy jeszcze w żadnej bitwie morska

potęga Suminoru nie doznała tak druzgoczących strat. Bijące w niebo słupy ognia, dymu i iskier przysłoniły gwiazdy. W tej chwili wydawało się, iż dla Suminoru zgasły one na dobre.

6. Noc krwi

Drzwi gabinetu były otwarte. Ksin runął do środka, w następnym

mgnieniu oka przeskakując ciało omdlałej pokojówki bądź królewskiej

nałożnicy. Redren zwiślał bezradnie z biurka, a z przegryzionej szyi na środek komnaty tryskała rytmicznie strużka krwi. Wampir zniknął.

Z tyłu doleciał przeraźliwy rumor nadbiegających straży.

Kotołak zareagował bez namysłu. Tak zręcznie, jak to możliwe

w przypadku przekształconej w łapę ręki, chwycił pazurami grubą, płonącą świecę, wyrwał ją z lichtarza i nim stopiony wosk wokół knota

zdążył się rozlać, wdusił go w ranę Redrena przyciskając mocno. Knot

zasyczał krótko i zgasł, ale chwilę później krwotok zmniejszył się na

tyłe, iż przestał zagrażać życiu. Ksin odrzucił świecę i skoczył do rozbitego okna.

Zajęty królem kotołak niedokładnie określił odległość Obecności.

Wampir tymczasem czał się tuż za framugą i doskonale zdawał sobie

sprawę, że nie ma żadnych szans w otwartym starciu ze zwierzołakiem. Uciekł się więc do podstępu. Gdy Ksin zeskakiwał na gzyms,

krwiopijca wyprysnął z cienia i pchnął go z rozmachem. Kocia zręczność nie zdała się na nic. Kotołak zdołał tylko skręcić się w desperackim półobrocie i drasnąć pazurem jedną ze spychających go, pomarszczonych dłoni. Chwilę później poleciał na bruk dziedzińca - cztery wysokie piętra w dół.

Upiorny ambasador obrócił się, by wrócić do komnaty, lecz uniemożliwiła mu to gromada gwardzistów, którzy właśnie zaroili się wokół króla. Błysk srebra na ostrzach włóczni skutecznie zniechęcił

wampira do dalszej walki. Krzyki żołnierzy zagłuszyły łomot uderzającego o ziemię ciała. Istota zwana do dziś Rgbarem błyskawicznie zniknęła pomiędzy kominami.

Ksin ani na moment nie stracił przytomności, dlatego na chwilę cały jego umysł wypełnił przenikliwy trzask własnych, łamiących się kości. Przemiana była zbyt powierzchowna i nie wzmocniła szkieletu.

Ból eksplodował jak kulisty piorun, po czym przepłynął po ciele, ostatecznie umiejscawiając się w twarzy i rękach. Kotołak spróbował wstać i już niebawem wiedział, że ma połamane obie ręce, szczękę i jakieś pięć żeber. Dwa złamania były otwarte - widział kość wystającą nad łokciem lewej ręki, drugą taką czuł pod prawą pachą. Przemiana cofnęła się częściowo. Miał ludzki kształt, ale cały porośnięty był gęstym futrem. Na szczęście nogi nie były poranione i mógł jeszcze chodzić.

Zew Obecności wampira oddalał się coraz bardziej. Kotołak zataczając się ruszył w ślad za nim.

Był czas pełni, zatem wszelkie obrażenia, jeśli nie były śmiertelne,

powinny zagoić się w ciągu kilku minut. Jednak charakterystyczny

mrowiący dreszcz nie nadchodził. Jedno spojrzenie w niebo wyjaśniło wszystko. Trwało zaćmienie Księżycy! Ksin przypomniał sobie, że

Rodmin wspominał o tym miesiąc temu. Noc zaćmionego Księżycy

to noc wampirów. Dla zwierzołaków i strzyg księżycowy blask niósł

dziś zbyt mało mocy, ale dla wampirów, strupieszęńców i pomniejszego upiornego plugastwa był jak najbardziej odpowiedni. Im bardziej martwa istota dostała się pod wpływ Onego i uległa Przemianie, tym bardziej parzyło ją niosące życiodajną moc światło.

Ksin zapominając o bólu przeklął swą głupotę. Znowu przegapił znaki i zignorował ważne wiadomości. Wszystko przez to zamieszanie

w ciągu ostatnich dni. A może właśnie po to je wywołano? Misterny

i przewrotny plan zamachu na króla powiódł się prawie doskonale.

Lecz przysłać takiego ambasadora? Kotołak wspomniał pierścień,

który mignął na palcu wampira. Było to tak aroganckie wyzwanie rzucone obowiązującym obyczajom, iż nie ulegało wątpliwości, że cesarz Wyspiarzy postawił wszystko na jedną kartę. Skoro poważzył się na coś takiego, jego celem mogło być tylko zniszczenie Suminoru! Jeśli Redren skona na wampirzą gorączkę...?

I dlatego kotołak nie mógł zgubić docierającego doń coraz słabiej zewu Obecności. Nie mógł go zgubić, ale siły opuszczały go z każdą chwilą. Zaćmienie Księżyca nie osiągnęło jeszcze apogeum. Ksin wiedział już, że jeśli nawet da radę wymknąć się z pałacu, to w żaden sposób w takim stanie nie zdoła wydostać się z miasta. Nie mógłby nawet wejść na drzewo, a co dopiero mówić o pokonywaniu ścian i murów.

Tymczasem w kolejnych skrzydłach królewskiego pałacu zapalały

się światła, a dochodząca stamtąd wrzawa przybierała na sile. Jeszcze

trochę, a na dziedzińce i do ogrodów wyjdą wzmocnione patrole...

Za wszelką cenę należało się stąd wydostać! Ksin wspomniał szybko wszystkie tajne wyjścia z pałacu. Niestety, żadne z nich nie było

znane tylko jemu. O ukrytych furtkach w zewnętrznym murze wiedział

każdy oficer od setników poczynając, znali je również tępiciele.

Jednak na którąś trzeba było się zdecydować. Kotołak wybrał najodleglejszą, gdzie najpóźniej powinny dotrzeć wzmocnione straże. Ruszył szybko przez ogród. Ręce zwiślały mu bezwładnie wzdłuż ciała.

Pomyślał, czy zdoła przecisnąć się między prętami. Ostatecznie połamane żebra mogły się teraz na coś przydać...

Teren przy furcie wyglądał na pusty. Podszedł bliżej.

-To zły plan, kapitanie - usłyszał spokojny głos. W pierwszej chwili nie poznał mówiącego. Odwrócił się gwałtownie, ciągle jeszcze mógł

kopać!

- Spokojnie, nie mam broni - zza krzaków wyszedł mistrz Jakub.

Ksin cały stężał.

-Zły to plan, który łatwo można odgadnąć - powiedział kat i uważnie przyjrzał się kotołakowi.

- Co ci się stało, kapitanie?

Ksin zdołał tylko pokręcić głową.

- Moje amulety zdradziły obecność wampira - rzekł Jakub. - Teraz

słyszę wrzawę w królewskich apartamentach. Czy królowi coś się stało?

Kotołak skinął głową.

- Myślą, że to ty, kapitanie?

Ksin uznał, że jego wygląd wystarczy za odpowiedź.

-Wampir nie powinien uciec - stwierdził kat. -Wyczuwasz go, kapitanie?

Zdołał zacharzyć w sposób przypominający słowo "tak".

-Więc chodźmy! -Jakub ruszył przodem.

Po kilku krokach kotołak zorientował się, że idą w stronę gospodarczej bramy na tyłach pałacu. Niebawem znaleźli się na niewielkim, mrocznym dziedzińcu. Stał tutaj wyprężony wóz przykryty białą tkaniną. Byli na zapleczu izby tortur.

- Proszę, kapitanie, połów się na wozie między ciałami - rzekł kat.

-Ja pójdę po konie. - Pomógł jeszcze kotołakowi wgramolić się pod

całun i ułożyć pomiędzy dwoma stężalymi trupami. Potem odszedł.

Tkanina musiała być obłożona czarem utrudniającym Przemianę,

bowiem już po chwili jej dotyk zaczął palić Ksina żywym ogniem.

Utrudniało to śledzenie zewu Obecności wampira, ale miało i tę zaletę, że gęsta sierść schowała się z powrotem pod skórę i kotołak odzyskał ludzki wygląd.

Mistrz Jakub zaczął zaprzęgać konie. Ksin stwierdził, iż wampir

przestał się oddalać. Charakterystyczne wibracje Obecności oznaczały, że właśnie ucztuje...

Kat wskoczył na kozioł i ruszyli. Spokojnie wyjechali z dziedzińca

i zbliżyli się do bramy. Tu zatrzymały ich podenerwowane strażę.

- Nikomu nie wolno oddalać się od pałacu! - zawołał jakiś podoficer.

- Czyj to rozkaz? - odparł spokojnie Jakub. - Kto go wydał? - powtórzył widząc zmieszanie gwardzisty.

- Nikt, panie - bąknął żołnierz. - Ale nie powinno się wyjeżdżać

z pałacu, gdy ten koci potwór napadł na króla...

- Mam czekać, aż ci na wozie też mi się przekształcą? - mistrz Jakub wskazał za siebie. - Czy może tylko zaśmierdną? Znasz mnie przecież, kapralu. Dobrze, że starasz się myśleć na służbie, ale i ja mam swoją robotę.

Gwardzista namyślał się długą chwilę.

- Chcę ich obejrzyć - rzekł wreszcie.

Jakub bez słowa zeskoczył na ziemię i ściągnął całun. Ksin z trudem powstrzymał westchnienie ulgi. Strażnik pochylił pochodnię.

- Czemu ten człowiek ma zmiążdżoną twarz? - wskazał na Ksina.

-Wypróbowałem nową maszynę tortur - odparł obojętnie kat. Kapral wzdrygnął się i odsunął od wozu. Jakub poprawił całun.

- Możecie jechać - oznajmił strażnik.

Za bramą, skręciwszy za najbliższy róg, kat odwrócił się i odstąpił głowę kotołaka.

- Czy wampir opuścił już miasto?

Ksin skinął.

- Przez południową bramę?

Powtórnie przytaknął.

Za miejskie mury wyjechali bez przeszkód. Do straży nie dotarła

jeszcze wieść o wydarzeniach w pałacu, zaś mistrz Jakub posiadał królewskie zezwolenie na nocny przejazd przez bramy Katimy. Ruszyli

drogą na południe. Obecność wampira znajdowała się mniej więcej

przed nimi, a jej miarowa, przypominająca bicie serca pulsacja wskazywała, że znowu wysysa jakąś przypadkową ofiarę... Głód tłumiony

dotąd przez zaklęcia i amulety zamienił byłego ambasadora w spragnioną krwi zębatą otchłań.

Ćwierć mili za miastem mistrz Jakub uwolnił Ksina od męki pod

magicznym całunem i pomógł mu usiąść na koźle.

- Przepraszam... - mruknął skonfundowany natrafiwszy dłonią

na wystające z ciała kotołaka ostre odłamki żeber. Zaraz potem wydobył ze skrytki w wozie młotek i dwa osikowe kołki, a następnie

przebił serca obu straconych złoczyńców. Zabezpieczone w ten sposób ciała zawłókł czym prędzej w przydrożne chaszczki.

- To powinno wystarczyć - oznajmił ponownie chwytając lejce. -

Prosto?

Ksin zacharczał twierdząco.

przez kilka minut jechali w milczeniu.

- Kapitanie, obawiam się, że na regenerację musisz poczekać do następnej nocy - powiedział kat, spoglądając na zaćmiony Księżyc. - Przed świtem księżycowy blask nie zdąży osiągnąć dostatecznej mocy.

Kotołak nie zareagował, wiedział o tym doskonale.

- Wszakże nie możesz cały dzień chodzić wyglądając, bez obrazy,

jak żywy trup - stwierdził mistrz Jakub. - Jeśli to możliwe chciałbym

opatrzyć twoje rany, by móc mówić, że wiozę ранnego towarzysza.

Ksin zastanawiał się chwilę. Ścigany wampir, odległy o jakieś dwie

mile, nie oddalał się bardziej. Raczej krążył po okolicy szukając kryjówki, gdzie mógłby przeczekać dzień. Z pewnością nie wyczuwał kotołaka, którego zmysł Obecności, wyrobiony regularnymi ćwiczeniami, miał znacznie większą wrażliwość. Mimo to o żadnej walce nie

mogło być dzisiaj mowy. Należało zaczekać, utrzymując bezpieczny

dystans. Ksin dał znak, że zgadza się na propozycję.

- Proszę przejdź na tył, kapitanie - polecił kat. Ze skrytki pod siedzeniem wydobył gruby zwój szarpii i tępki.

Kotołak, koncentrując się na opanowaniu bólu, poddał się zabiegowi nastawiania kości. Jakub szybko poradził sobie z rękami, podwiązał żebra, w miarę możliwości wpychając je na swoje miejsce, po czym

zajął się zniekształconą twarzą.

- Bardzo źle to wygląda - oznajmił obmacawszy szczękę, policzki

i skronie. - Żuchwa złamana w czterech miejscach, do tego pęknięcie czaszki... Płyn mózgowy wycieka ci lewym uchem, kapitanie.

I jeszcze zmiądzony nos. Tylko Mocy Onego zawdzięczasz to, że twoje zmysły nadal działają. W tych warunkach niewiele da się zrobić,

potrzebna byłaby skomplikowana operacja, której zwykły człowiek najpewniej by nie przeżył.

Ksin leżał spokojnie.

- Właściwie to mogę jedynie zabandażować ci głowę, by ukryć te okaleczenia- oznajmił sięgając po szarpie. -Tylko proszę, kapitanie przy ludziach udawaj, że oddychasz...

Kotołak dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, iż jego płuca przestały pracować. Jedynie serce wciąż biło.

O najciemniejszej godzinie nocy na bruku ulicy wiodącej do Południowej Bramy Katimy zastukotały podkowy i koła. Kawalkada złożona z sześciu jeźdźców i ciężkiego wozu, na który załadowano coś jakby wielką beczkę okrytą szczelnie suknem, podjechała do wrót.

- Otwierać! - rzucił zakapturzony mężczyzna na czele, pokazując coś wartownikowi. Ten, na widok przedmiotu w dłoni jeźdźcy, skłonił się nisko i bez szemrania wypełnił polecenie.

WWóz i pięciu zbrojnych szybko wyjechało z miasta. Przywódca nie spieszył się z odjazdem, obserwując uważnie żołnierza.

- Kat pojechał na południe? - zapytał wreszcie.

- Tak panie.

- Ile trupów wiózł?

- Trzy, panie.

- O jednego za dużo - stwierdził sucho jeździec.

- Nie rozumiem, panie.

- Nie musisz - mężczyzna zakręcił koniem i pognął za swoimi ludźmi. Szybko zniknął w ciemnościach.

Nim brama zamknęła się ponownie, dowódca straży splunął za odjeżdżającym.

- Najlepiej będzie jeśli dzień przeczekamy w karczmie - powiedział mistrz Jakub.

Kotołak nie zaprotestował.

- Lepiej zatrzymajmy się w pierwszej za miastem - kontynuował

kat. - Bez dobrej magii nierozsądnie jechać przez całą noc. Coś może wyleźć i konie w najlepszym razie spłoszy.

Była to prawda. Już od kilku minut Ksin wyczuwał drugą Obecność.

Znajdowała się za nimi i zdawała przybliżyć. Wampir musiał wejść na

teren jakiegoś cmentarza, gdyż wibracje Onego, które emanował, uległy charakterystycznemu stłumieniu.

Po niecałym kwadransie zajechali na podwórze przydrożnej oberży.

Gospodarz zdumiony tak późną wizytą, co prawda nie rozpoznał kata, lecz od początku okazał podejrzliwość.

- Potrzebna izba dla rannego przyjaciela - oznajmił Jakub, pomagając Ksinowi zleźć z wozu.

Karczmarz popatrzył spode łba i po krótkim wahaniu pokazał drogę. W głównej izbie oberży nic się już nie działo. Kilku zmożonych

winem gości spało na ławach lub z głowami na stołach. Nikt nawet

nie spojrzął, gdy kat taszczył powłóczącego nogami kotołaka do komory. Ułożył Ksina na pryczy, szczelnie zaciągnął małe okno, po czym wyszedł zając się końmi i wozem.

Wrócił niebawem z kagankiem oliwnym w ręku. Postawił światło

na stole i zamknął dokładnie drzwi. Wydobył topór ukryty za połą kaftana, a następnie, po chwili namysłu, wbił go w ścianę nad zagłówkiem drugiego łóżka. W ubraniu rzucił się na pośłanie.

Druga Obecność zbliżała się z całą pewnością. Ksin odniósł wrażenie, że wędruje ona miejskim gościńcem i zastanawiał, jak powiadomić

o tym Jakuba. Szczególnie niepokojący był fakt, że znów nie był w stanie rozpoznać rodzaju stwora. Musiały osłaniać go silne amulety.

Ta Obecność nadciągała szybko. Śledząc jej postępy, zapomniał

o wampirze. Nie zwrócił też uwagi na ruch przed zajazdem. Gdy

Obecność dotarła do karczmy i skręciła na jej dziedziniec, zsunął

rękę z temblaka i wskazał na zewnątrz.

Mistrz Jakub natychmiast podszedł do okna.

- To tępiciele - oznajmił. - Sześciu... Siódmy na wozie, chyba mają tam klatkę na upiory. Coś w niej jest? - spojrzął na Ksina. Kotołak

skinął twierdząco.

Kat zaklął. Z głównej izby dobiegł stłumiony odgłos wymiany zdań

i szybkie kroki wprost do ich drzwi.

Deski zadudniły od uderzeń pięści.

- W imię Reha, otwierać!

-Wielki Reh z pewnością nie błogosławi waszych uczynków - odparł kat.

- Mistrzu Jakubie, jesteśmy tępicielami płodów Onego, przybywamy z rozkazu czcigodnego Bero, arcyświęty w świątyni...

- Darujcie sobie tytułaturę - uciął Jakub.

- Cięży na tobie zarzut współniccwa w spisku na życie króla. Otwieraj, chcemy zobaczyć kim jest twój towarzysz!

- Aby strzelić mu srebrnym bełtem w plecy, jak to macie w zwyczaju?

- Stajemy potworom twarzą w twarz, zagradzając im drogę do... -

ta wypowiedź sądząc po tonie głosu tępicielea przeznaczona była dla przypadkowych świadków obecnych w głównej izbie.

- Tacy, co ze srebrnym mieczem w ręku zastępują demonom drogę, żyją długo tylko w legendach - odparł kat, postanawiając zyskać

na czasie. -Wśród żywych nie zdarza się im być dłużej niż parę miesięcy, od chwili gdy wpadną na tę myśl.

Za drzwi dobiegło zduszone przekleństwo.

- Wyrzuć ich stąd! - polecenie nie dotyczyło Ksina i Jakuba, lecz gapiów. Potwierdziły to krzyki i zamieszanie, które nastąpiły po tych słowach.

- Dobrze, kacie, dość obelg - odezwał się tępicie!, gdy pozbyto się już niepowołanych uszu. - Wiemy, że to nie kotołak napadł na króla.

Ksin i kat popatrzyli na siebie uważnie.

-Trzeba zabić tamtą bestię, a czasu jest mało. Król umiera. Otwieraj kacie!

Kotołak usiadł na łóżku. Jakub namyślał się chwilę, po czym postąpił kilka kroków i wyszarpnął wbity w ścianę topór. Ruszył do drzwi.

- Zgoda - oznajmił odsuwając masywny skobel.

Gdyby stał ćwierć kroku bliżej, drzwi wypchnięte impetem trzech par ramion i barków wyrzuciłyby go na środek izby.

Tępiciele runęli do środka.

- Giń zdrajco! - wrzasnął Jakubowi w twarz jeden z nich, unosząc

kuszę.

Jeżeli sądzą, że kat potrafi robić toporem tylko z góry na dół to

bardzo się omylili. Jakub niemal bez zamachu, jedynie z lekkim skrętem bioder, ciął potężnym ostrzem na skos od prawego kolana do lewego ucha. Smuga błękitu przemknęła przed tępicielami momentalnie osadzając ich w miejscu. Podbita styliskiem kusza wystrzeliła ponad ramieniem kata. Bęł z hukiem ugrzął w suficie.

Uniesiony topór spadł na dół. Jakub mierzył w twarze. Dwaj tępiciele cofnęli się w popłochu, trzeci zastawił wystrzeloną kuszę. Topór wytrącił mu ją z ręki przecinając cięciwę.

Kat nie zwolnił. Przeciwnie, rozpędzał się z każdym mgnieniem oka

jak zwolniona sprężyna. Płynnie poddał się impetowi ostrza zwijając

w błyskawicznym piruecie. Trzeci cios miał wejść pod pachę. Tępiciel zdołał się uchylić skręcając bark, ale nie zdążył cofnąć głowy. Stał

weszła w policzek i przemknęła między okiem a uchem. Ranny stanął jak wryty, a w tym momencie na plecy zwalili mu się dwaj pozostali, wracający do walki tępiciele. Popchnięty wleciał do komnaty głową naprzód, padając pod nogi mistrza Jakuba i blokując drogę własnym towarzyszem. Jeden z nich nieopatrznie spojrział w dół.

Kiedy podniósł wzrok, ujrzał ostrze topora, które właśnie wbiło mu

się między oczy. Siła uderzenia wrzuciła go z powrotem do głównej izby.

Trzeci tępiciel na widok pogromu towarzyszy zawahał się dostatecznie długo, by Jakub zdążył zatrzaskać mu drzwi przed nosem.

-Zapamiętaj to sobie, gdyby kiedyś przyszło ci do głowy zaufać tym

gadam - wysapał kat do Ksina.

Ranny tępiciel leżał nieruchomo na środku alkowy. Obok głowy rosta powoli plama krwi.

- Chyba mamy duży kłopot - kontynuował Jakub podchodząc do

stołu. Wyciągnął rękę w kierunku kaganka...

Kotołak usłyszał wizg cięciwy za oknem i zobaczył jak ciało kata

przemienione nagle w bezwolną kukłę wali się z łomotem w kąt izby.

W półmroku zgasł snop żółtych iskier.

- Dostał! - rozległ się triumfalny krzyk na podwórzu.

Kotołak poderwał się tak szybko, jak tylko pozwalały połamane kości i kopniakiem zasunął okiennicę. Kolejny bęł przebił grubą deskę,

lecz pozostał w niej, uniemożliwiając ponowne otwarcie okna. Ksin,
nie tracąc czasu na kontemplację tego pomyślnego zdarzenia, zsunął
się z pryczy i przypadł do kata.

- Nasz kłopot zrobił się większy, kapitanie - wymruczał mistrz Jakub przez zaciśnięte zęby. Bełt utkwiał
mu pod lewym obojczykiem.

- Przeszedłby na wylot, gdyby nie omsknął się po toporze... stąd
iskry...

Kotołak pokręcił przecząco głową, dając znak, by przestał mówić.

Nie było jak wydobyć pocisku, a jeśli nawet, to w żaden sposób nie
zdołałby opatrzyć rannego i zatamować krwotoku.

-Zostaw jak jest- szepnął kat. -Już mi lepiej... - powoli uniósł
się i usiadł opierając o ścianę. Ostrożnie wziął głębszy oddech.

-Boli... -westchnął.

- Ułóżcie chrust pod ścianami! - padł rozkaz na zewnątrz.

- Panie, co chcecie... - skomlenie karczmarza przerwał trzask uderzenia, po którym rozległ się łomot
kilku kopniaków.

- Tam został Bero... - zaproponował jakiś tępicieł.

- Już po nim - uciął przywódca. - Układać chrust! No już!

Za moment do Ksina i Jakuba nasłuchujących w ponurym milczeniu dotarł zza ściany trzask i chrobot.
Ranny tępicieł w izbie stęknął

przeciągle, spróbował unieść głowę i znów stracił przytomność. Kaganek na stole palił się równym,
wysokim płomieniem.

- Kapitanie jest coś, co możesz jeszcze zrobić... - odezwał się kat.

Kotołak pokręcił przecząco głową.

-To nasza jedyna szansa, w każdym razie twoja i króla... -Jakub
zaczął przesuwać się w stronę tępicieła.

Ksin siedział jak skamieniały. Ta myśl przyszła mu do głowy już
wcześniej, ale wtedy natychmiast wyrzucił ją ze świadomości.

- Podpalać!

-Nieeę!!! Panie litości!!!...

- Kusze!

Warkot ciężkiy zamienił skowyt karczmarza w rżenie konającego. Do odgłosów agonii dołączył od razu kobiecy lament. Dowódca

tępicielei zaklął z wściekłością. - Wypuścić bestię - rozkazał.

Dopiero teraz kotołak zdał sobie sprawę, że ta druga Obecność znajduje się od dłuższego czasu na dziedzińcu karczmy. Tępiciele przywieźli ze sobą potwora!

Przez zawrodoenie niewiasty przebił się zgrzyt otwieranej klatki

i z miejsca wszystko zagłuszyły krzyki przerażonych gapiów. Kobieta

wrzasnęła przeraźliwie i chyba zemdlła.

-Wprowadźcie go do środka, niech pilnuje drzwi - polecił dowódca. - Dawać pochodnię!

- Kapitanie, nie możemy postąpić inaczej! -wydyszał kat.

Porażony rozpaczą Ksin skinął głową. Na zewnątrz zasyczała pierwsza ogarnięta płomieniem wiązka chrustu.

Mistrz Jakub ściągnął ze stołu glinianą miskę i wydobył sztylet. Przystawił naczynie do szyi nieprzytomnego tępicielea, po czym fachowo

przekłuł tętnicę. Plusk krwi w misce i zapach dymu pojawiły się równocześnie. Kotołak spuścił wzrok. W głównej izbie karczmy zabrzmiał głuchy ryk. Spadło coś ciężkiego.

- Ładować srebrne bełty! - dobiegło poprzez szum ognia. Sączący się wszystkimi szparami dym zaćmił światło kaganka. Mistrz Jakub zakaszłał rozdzierająco.

- Gotowe... - odwrócił się trupioblady i ociekający zimnym potem.

W drżącym ręku trzymał pełną krwi misę.

Ksin cofnął się odruchowo.

- Musisz... - kat znowu zakaszłał i omal nie wypuścił naczynia

W kąciiku ust pojawiła się różowa piana. Niczym złowrogi wysłannik przeznaczenia przyparł kotołaka do ściany.

- Pij! - rozkazał przełamując słabość. Brutalnie przycisnął brzeg misy do wykrzywionych warg Ksina. Ten poddał się i gdy ciepły, słono-

-słodkawy płyn wypełnił mu usta, zaczął łykać.

Ludzka krew - pokarm i narkotyk upiorów. Źródło siły potężniejszej niż księżycowe światło. Dawała moc, ale w zamian zabijała wszelkie uczucia. Już pierwsze krople wzbudziły w umyśle Ksina druzgoczący chaos. Wiedza, nawyki i wola rozpieczęły się, redukując do najniższych instynktów i odruchów. Stawał się dziką bestią. Moc wchłonięta niegdyś z gwiaździstego talizmanu nie zdołała się temu przeciwstawić i zgasła jak skra. Nigdy dotąd nie tknęła ludzkiej krwi. Teraz pod jej wpływem pogrążał się w bezmiarze opętania. Cofało się

i znikało wszystko co dobre. Pozostawała naga struktura demona, którą za moment ogarnęły fale bezbrzeżnej nienawiści.

Przymknięte oczy rozwarły się i zapłonęły fioletowym światłem. Mistrz Jakub odskoczył, wypuszczając miskę. Ujrawszy swe dzieło nie

zdołał opanować strachu. Z charkotliwym krzykiem rzucił się w bok,

wczołgał pod łóżko i tam zwinięty jak embrion zamarł w bezruchu.

Ksinem targnęły drgawki. Przez moment trzepotał na podłodze jak

ryba, po czym nagle z krótkim chrzęstem zrosły się mu wszystkie kości. Pokryła go sierść.

Płomienie zahuczały na dachu karczmy. Z sufitu opadła ciężka poducha dymu. Przez okiennicę wniknął do izby pierwszy jęzor ognia.

Kotołak wstał.

Karczmą i okolicą wstrząsnął oszalały ryk. Odpowiedział mu inny,

bardziej rozedrgany. Przez chwilę dwa potwory próbowały zagłuszyć

się wzajemnie, po czym zamilkły równocześnie.

Ksin usłyszał dobiegający spod łóżka kaszel. Niedbałym ruchem odrzucił w bok ciężki mebel, a następnie spojrzał na skulonego kata.

Zaraz jednak uwagę kotołaka przykuł świeży trup tępiciele. Ta ucztą

jeszcze nie była zakończona! Przewrócił ciało na wznak, przydepnął

je i z krótkim pomrukiem wydarł nieboszczykowi wątrobę. Odrzucił

teb do tyłu z lubością przełykając skrwawiony ochłap. Ocierając pysk

łapą znów spojrzał na Jakuba...

Drzwi poszły w drzazgi! Drugi potwór podrażniony ogniem, zapachem krwi oraz bliską Obecnością nie wytrzymał i wtargnął do izby.

Niewiarygodnie szybko i płynnie Ksin obrócił się w stronę intruza.

Był to ożywiony trup. Wielki, barczysty osiłek musiał co najmniej trzy miesiące leżeć w ziemi, zanim tępiciele wzięli go do siebie na służbę. Przez ten czas zdążyły mu wygnić wszystkie delikatniejsze

części ciała. Pozostały kłęby szerniałych mięśni uczone do obnażonych w wielu miejscach kości. Twarz była bezkształtną maską, a szyję znaczyła głęboka bruzda - niewątpliwie ślad stryczka.

Kotołak skoczył uderzając przeciwnika łbem w pierś, wręcz rozgniatając go o ścianę. Płonąca karczma zatrzęsa się w posadach. Żebra strzeliły z hukiem, a poczerńnięte ręce zamachały bezsilnie.

Cios na odlew zmiotł strupieszęcowi głowę z ramion. Druga łapa

wyrwała tłoczące trupa posokę serce, kończąc walkę. Całkiem już martwy sługa tępiciele padł na podłogę.

Ksin skoczył do głównej izby. Tępiciele stał z kuszą gotową do strzału, lecz cel poruszał się tak szybko, że strzelec chybił mimo znikomej odległości. W następnym mgnieniu oka już leżał. Kotołak wziął go pod siebie, grzebnął pazurami. Kawałki ciała rozleciały się we wszystkie strony.

Wypadł na zewnątrz.

Nie spodziewano się go tutaj. W każdym razie nie tak szybko. Rozbryzgnięty mózg tępiciele, dopiero podnoszącego kuszę do ramienia

oślepił drugiego, który już złożył się do strzału. Nie zdołał obetrzeć oczu. Ze zgruchotanym biodrem przeleciał przez całą szerokość podwórza i zatrzymał się dopiero na płocie, wyłamując znaczny fragment.

Pozostał tylko dowódca. Ten jednak nie padł ofiarą Ksina. Zanim

kotołak zdążył się zbliżyć, jeden ze stojących dęba, spłoszonych koni, przewrócił tępiciele na ziemię i przetrzącił mu kręgosłup. Reszty dokonały oba zwierzęta pociągowe, miażdżąc rannego przewróconym na bok i wleczonym na oślep wozem z kłatką.

Ksin zaryczał przeciągle sprawiając, że otaczające go pandemonium

stało się istnym wirem szaleństwa. Potem skoczył w ciemność.

Tylne drzwi karczmy otworzyły się gwałtownie i na zewnątrz wraz

z kłębem dymu wypadł charczący straszliwie człowiek.

Mistrz Jakub zataczając się przeszedł kilkanaście kroków i runął bezwładnie na twarz.

Kotołak mknął przed siebie w szalonym pędzie.

7. Mała Sieć

-Żadnych wieści z Katimy- oznajmił Sagino, siwowłosy kasztelan

Diny. - Garnizony Tbmdu i Safergu nie wyruszą dopóki nie otrzyma-

ją instrukcji z Irimy, a tamci z kolei czekają na rozkaz króla.

Dargon uderzył pięścią w stół.

-Ja nie będę czekać! Półtora legionu to dość, by przerwać oblężenie.

-Zdałoby się więcej...

-Żołnierzy czy odwagi? - Dargon spojrzał przenikliwie. - Na odwagę można czekać dłużej niż na posiłki. Czasem nawet życia nie starczy...

Sagino spuścił wzrok.

- Doradzam ostrożność - nie ustąpił jednak. - W razie klęski nieodwołalnie stracimy Kemr, a narażenie twojej osoby księżę, legalnego następcy króla Redrena, oby żył najdłużej, oznacza...

-Wiem, co oznacza i właśnie dlatego nie pozwolę zamknąć się w złotej klatce! - Dargon szarpnął niecierpliwie swój wiszący na szyi amulet wykrywający upiory. - Już bez walki oddałem prawie połowę prowincji! Straciłem flotę! Jak długo jeszcze mam się cofać? Ile ziemi

oddać? Mam skończyć jako Dargon I - król Północnych Moczarów

i Słonych Bagien?

- Radzę jedynie uderzyć większą siłą i z większą pewnością zwycięstwa.

-Nie.

- Jak każesz, księżę.

- Ruszamy za dwa dni. Pierwszy Legion Piryjski pod moim dowództwem, drogą na Kemr. Ty ładuj resztę na statki i płyn w dół rzeki, co się nie zmieści pójdzie brzegiem. Do czasu połączenia sił unikamy bitwy.

- Tak, panie.

Mag-Pająk siedział na skrzyżowanych nogach patrząc uważnie

przed siebie. Za nim, pokrywając cały stok wzgórza, przywarował nieruchomy Wlokun. Przed magiem wisiały w powietrzu trzy pająki. Nie

były żywe. Wykonano je ze złota i kamieni szlachetnych, a mimo to

poruszały się w sposób zupełnie naturalny. Było to tym dziwniejsze,

że nie podtrzymywała ich żadna widzialna pajęczyna. Nici, które pająki pracowicie przędły, zwijały i splatały, były niemi czarów.

Sztuczny pająk z prawej zaczął nagle rytmicznie przebierać odnóżami. Mag skupił na nim uwagę.

"Wampir poznał smak krwi Redrena", odczytał wiadomość, po

czym na piasku przed sobą nakreślił szybko kilka runów: "Potwierdzić śmierć Redrena".

Pajączek z klejnotów znieruchomiał.

"Czy egzystencja wampira została przerwana?"

"Nie".

"Czy został spłoszony?"

"Być może".

Skoro spróbował krwi i przeżył, reszty dokona wampirza gorączka, zdecydował mag i zajął się następną sprawą.

Było to znacznie trudniejsze. Wśród milionów aktywnych talizmanów należało wyszukać jeden, wiszący na szyi pewnego człowieka...

Unoszące się w powietrzu sztuczne pająki zaczęły z nadzwyczajną szybkością przegarniać nici uroków, szukając tej jedynej. Z nieomylną pewnością odrzucały kolejne wątki niewidzialnej pajęczyny. Nagle

jeden z pajaków spłonął bezgłośnie. Na ziemię, w snopie iskier spadły dymiące okruchy klejnotów i kropelki stopionego złota.

Mag wykrzywił usta. Widocznie jakiś czarownik obłożył swój talizman

czarem zabezpieczającym. Dwa pozostałe magiczne stawonogi zaczęły poruszać się jeszcze szybciej, przejmując zadania zniszczonego.

Trwało to krótko. Wtem kolejny pajaczek znieruchomiał jak porażony i pacnął o ziemię, stając się tylko błyskotką zdatną najwyżej na

broszkę.

Teraz już Mag-Pająk zaklął ponuro. Nie miał czasu tworzyć nowych szperaczy, jeżeli trzeci zostanie uszkodzony...

Z napięciem obserwował postępy ostatniego pomocnika.

Amulet na szyi śpiącego Dargona drgnął. Książę niczego nie poczuł,

oddychał głęboko, miarowo. Rzemień artefaktu skurczył się wyraźnie. Ciemny kryształ nieznacznie przesunął w kierunku gardła. Następny ruch był znacznie dłuższy. W ciągu minuty kilkakrotnie skrócony za sprawą magii rzemyk ciasno opasał szyję księcia. Wgłębi kryształu zapalił się ostrzegawczy, czerwony blask, ale nie było nikogo, kto

mógłby to zauważyć.

Czarnoksiężka pętla zaczęła się delikatnie zadzierzgać. Ucisk na gardle narastał nieznacznie, niczym subtelna pieśczoła. Ograniczony dopływ krwi i powietrza sprawił, iż sen Dargona stał się głębszy. Oddech uległ spłyceniu, stopniowo przeszedł w chrapanie.

W świecie snu księcia zaczęły wyrastać ciemne, grube ściany. Potężne mury wysuwały się z ziemi wszędzie gdzie tylko spojrzeł, tworząc nieprzebyty labirynt. Słońce traciło blask, barwy szarzały. Ściany wciąż rosły. Niebo skurczyło się do jasnych skrawków wysoko w górze, lecz w końcu i one zniknęły. Mury połączyły się ponad głową Dargona, zamykając go niczym w grobowcu. Potem wszystko zadrżało.

Ściany zbliżyły się do siebie, ścisnęły księcia, po czym runęły. Niebotyczny ciężar przygniótł, obezwładniał i dusił. Otumaniony umysł

Dargona wytworzył myśl o pogrzebaniu żywcem. Fala przerażenia

poniosła śpiącego w kierunku jawy. Nie dotarła tam jednak. Zabrakło

tchu... Tchu! Powietrza! Oddechu!!!

Nic z tego. Nie mógł napełnić płuc i pogrzył się w męce bezsilności oraz strachu. Dusił się zlany zimnym potem, niezdolny obudzić.

Wreszcie osunął w dół, w czarną studnię. Spadał coraz szybciej, porażony, coraz bardziej martwy. Nieskończenie szybko i długo.

Nagle zobaczył światełko. Zbliżało się, rosło. Dotarłszy do niego

znieruchomiało. Z blasku wyłoniła się postać. Jakiś człowiek pochylał się i wejrzał w bezbronny umysł Dargona, który poddał się temu

bez żadnej myśli.

- Słuchaj - przemówił człowiek. - Uczynisz co każę...

Mówił dalej, a jego słowa, omijając świadomość zdolną im zaprzeczyć, wnikały głęboko i przywierały na stałe do zamartej pamięci.

- To wszystko - zakończyła widmowa postać. - Wracaj wypełnić

rozkazy - nieznaczny gest dłoni strącił Dargona w wir wisielczych

męczarni.

W konwulsjach uderzył głową o brzeg wojskowej pryczy. Świadomość

ocknęła się na tyle, że książkę poczuł na szyi dławiącą go pętlę. Charcząc okropnie sięgnął do niej obiema rękami i szarpnął desperacko. Cudowna fala powietrza napełniła mu płuca i mózg niewypowiedzianą rozkoszą. Legł w pościeli łapczywie chwytając kolejne wdechy.

- Wasza książęca wysokość... - do namiotu wszedł zaspany giermek Zigo. - Czy coś się stało? - podkręcił knot w lampie oliwnej,

zwiększając płomień i zawiesił ją na słupie podtrzymującym dach namiotu. Zrobiło się całkiem jasno.

Dargon leżał niezdolny wymówić słowa. Podniósł rękę do oczu i zobaczył, co zerwał ze swojej szyi. Był to jego własny amulet. Rzemyk, już normalnej długości, zwisał luźno spomiędzy palców. Kryształ nie świecił. Książę patrzył nic nie rozumiejąc.

Giermek okazał się bardziej domyślny. Zauważył pręgę na gardle swego pana, jego niezwykłą bladość i zerwany rzemień talizmanu.

- Wasz amulet, panie, musiał się w nocy zaplątać i zacisnąć - pośpieszył z wyjaśnieniem. - To się zdarza...

Dargon po chwili namysłu i obmacaniu szyi przyjął to tłumaczenie skinieniem głowy.

- A ja myślałem, że zmora... - stęknął.

- A gdzieżby zmora śmiała się do was zbliżyć, wasza książęca wysokość, skoro nosicie na szyi coś takiego. Ot, przypadek głupi!

- I ja tak sądzę... - odłożył amulet na stolik i jeszcze raz rozmasował gardło. - Podaj wina.

Mag-Pająk walczył ze zmęczeniem. Czarnoksięski zabieg na Dargonie okazał się tak wyczerpujący, że Pająk omal nie stracił władzy

nad Wlokunem. Z trudem przemógł omdlenie. Utrata świadomości oznaczała natychmiastową śmierć. By zachować ją i życie nie spał już prawie od miesiąca. Teraz niewiele brakowało, by puściły magiczne więzy, którymi wzmocnił swą wolę. Ale udało się! Wszystko co do

szczegółu! Doprawdy, niełatwo jest na odległość doprowadzić człowieka do krawędzi śmierci i zatrzymać go na niej tak długo, jak trzeba. Mogli zginąć obaj...

W miarę jak odzyskiwał władzę nad swoim ciałem, zadowolenie Maga-Pajaka stawało się coraz większe. Trzy magiczne Sieci łączyły się

w jedną, oplatającą najważniejszych wrogów. Wkrótce wystarczy ją ściągnąć, by zdusić wszelki opór. W mniejszą z Sieci zmierzały od dziś oddziały Dargona. Większa czekała na cały Suminor.

Oficerowie siedzieli w milczeniu, nie wierząc własnym uszom.

- Powtarzam - oznajmił Dargon. - Przekroczymy Bezimienną Rzekę, by odciąć od dostaw wojska Wyspiarzy oblegające Kemr!

- Ależ w ten sposób sami odcinamy się od własnych tyłów - zaproponował jeden z tysięczników - Na niepewnej ziemi, mając za plecami wodę i wroga.

- Strach cię obleciał? - warknął książę

Oficer zagryzł wargi

- Wolę zginąć w walce niż od czarów.

- To się da zrobić jeszcze szybciej - wycedził Dargon - Straż!

Do namiotu natychmiast wkroczyło trzech gwardzistów z przybocznego oddziału następcy tronu.

- Wyprowadzić tego człowieka - wskazał - I powiesić.

Zebrani zamarli.

- W pełnej zbroi - kontynuował książę - Potem niech zostanie zapisane, iż poległ on w walce z przyciąganiem ziemskim - spojrzał

z pogardą na podwładnych - Pragniecie o coś zapytać?

Nikt tego nie pragnął.

- Niemożliwe - Sagino spojrzał z osłupieniem na posłańca - Powtórz.

- Książę Dargon postanowił obejść wojska Wyspiarzy przekraczając Bezimienną Rzekę.

Sagino popatrzył na mapę i wzruszył ramionami.

- Równie dobrze mógłby obejść całe Puste Góry - stwierdził - A co ja mam robić?

- Nie mam żadnych instrukcji dla waszej dostojności.

Kasztelan opadł ciężko na fotel.

- To jakiś obłąd - stęknął.

Posłaniec spuścił wzrok.

- Z połową legionu, w pół drogi między Diną a Kemrem, w obliczu

głównych sił Cesarstwa - kontynuował Sagino - Lepiej od razu każę

moim ludziom rzucić się na miecze. Skutek ten sam, ale mniej zachodu - machnął ręką.

W milczeniu kolejny raz rozważył sytuację.

- Dargon zostawił nas na pastwę Wyspiarzy - wybuchnął po chwili - To szaleństwo.

- Tak mówią - bąknął żołnierz.

Sagino uniósł brwi.

- Mów co wiesz - polecił - Nie obawiaj się kary.

Posłaniec unikając patrzenia w oczy kasztelana opowiedział o egzekucjach w obozie.

Stary wojownik wstał i powoli zmiął leżącą na stole mapę.

- Wracamy do Diny - rzekł posępnie - Zwijać namioty, zawrócić statki. Ten legion jest już stracony.

8. Miłość dziewicy

W progu pracowni Rodmina stanęło dwóch tępicieli.

- Przyszliśmy po kochanicę potwora! Wiemy, że jest u ciebie.

- W istocie, wasza głupota dorównuje waszemu zaślepieniu. Czego chcecie od tej, która nie jest niczemu winna?

- Prawo Czystości przewiduje...

- Tępicielu, wprawiasz mnie w zakłopotanie. Nie wiem, czy mam ci się w twarz roześmiać, czy w nią napluć. Król kona, królestwo się wali, a wy szukacie pomsty na kobiecie?

- Przynajmniej ją chcemy dostać - warknął drugi tępiciel.

Mag spojrział bystro.

- Znaczą Ksin wam się wymknąć?

Nie odpowiedzieli.

- Wydadz tę sukę! - pierwszy tępiciel postąpił krok naprzód, a ponieważ zastępujący mu drogę Rodmin nawet nie drgnął, po krótkim

wahaniu cofnął się na poprzednie miejsce. Skinął na patrol gwardii.

Żołnierze zbliżyli się z ociąganiem.

- Nie podchodźcie - powiedział mag, nie patrząc na nich. Gwardziści posłuchali, zaś tępiciel poczerwieniał.

-W imię regenta, świątobliwego Bero... - zaczął.

- Wynoście się!

-Ty żaloszny magiku... - obaj ruszyli naprzód.

Rodmin błyskawicznym ruchem uniósł prawą, zaciśniętą pięść

i rozwarł palce. Usta tchnęły bezgłośnie zaklęcie.

Dłoń maga rozbłyła blaskiem tysiąca słońc, ale światło to zobaczyli tylko ci, którzy chwilę temu patrzyli w źrenice Rodmina. Nim zdążyły drgnąć powieki, gałki oczne obu tępicielei zmętniały jak gotowane Jaja. Moment później zawrzały i pękły buchając kłębamii pary oraz

siejąc drobinami dymiącego białka. Tępiciele rycząc z bólu runęli na posadzkę. Cierpienie było jednak tak straszne, porażające zmysły, że omdleli nim legli na kamieniach. W zapadłej ciszy słycać było tylko syk wrzátku w oczodołach.

-Zabierzcie ich i wyrzućcie z pałacu - polecił Rodmin gwardzistom i zamknął drzwi pracowni.

Siedząca za stołem Hanti patrzyła nań z przerażeniem.

- Co teraz? - szepnęła.

- Nic - mag rytualnie otrzepał dłonie. - To powinno na jakiś czas powstrzymać Berta. Nieprędko zdobędzie się na podobną bezczelność. W pałacu jesteśmy względnie bezpieczni. Gwardia oficjalnie

zmuszona jest słycać rozkazów Bero, ale to ja jestem jedynym człowiekiem, któremu w tej sytuacji mogą ufać. Wiedzą to i setnicy i tępiciele. Niniejszym okazałem im, że do politycznych intryg się nie mieszam, ale i sobie na głowę wleźć nie pozwolę. Powinni uznać ten stan rzeczy.

-Ale to znaczy, że jesteśmy tu uwięzieni - Hanti ogarnęła gestem pracownię. - Jak zatem zdołamy pomóc Ksinowi?

- Nie wiem - westchnął Rodmin. Jeśli jednak spróbuję cokolwiek przedsięwziąć, dojdzie do rozłamu wśród gwardii, gdyż część z pewnością opowie się po stronie świętców i tępicielei. Dojdzie do jawnej rewolucji pałacowej, wybuchną zamieszki i niezależnie od tego, która ze stron zwycięży, król nie dożyje rozstrzygnięcia. I oczywiście ja będę temu winny.

- Więc co... - Hanti spuściła głowę.

- Musimy czekać - odparł mag. - Zyskaliśmy przynajmniej tyle, że możemy to robić w spokoju.

Drzwi czarnoksięskiej pracowni zadudniły od ciosów pięści.

- Czyżby w moim rozumowaniu tkwił błąd? - zdumiał się Rodmin.

Podszedł szybko do kredensu z magicznymi ingrediencjami, wydobyl z szuflady jakiś mały, biały przedmiot i ukrył go pod językiem. Uchylił drzwi.

Z wrażenia otworzył usta i natychmiast, zdawszy sobie z tego sprawę, splunął w bok.

Biała grudka eksplodowała w kłęb cienkiej jak pajęczyna, lecz niezniszczalnej ogniem i żelazem sieci, która szczelną draperią oblepiła pół ściany. Mag nie zwrócił na to uwagi. Cofnął się szybko, szerzej otwierając drzwi.

- Wchodźcie!

Do komnaty wtoczyło się dwóch ludzi. Mistrz Jakub, gdyby nie rumieńce oparzeń na policzkach i czole, byłby śmiertelnie blady. Włosy miał częściowo spalone. Te, co ocalały były poskręcane od żaru.

Kata podtrzymywał jakiś barczysty mężczyzna, którego całą głowę spowijał wielki, bezkształtny worek z otworami na oczy. Otworów tych

było cztery...

Ostłupiały mag poznał go natychmiast.

- Dekart... - wyszeptał. - Jak się tu dostaliście?!

Dwugłowy wilkołak tylko wskazał na brata.

Jakub dysząc ciężko oparł się o stół i pochylił nad nim. Dopiero teraz Rodmin dostrzegł bełt tkwiący pod obojczykiem kata.

- Siadaj, panie - podsunął mu krzesło.

Dekart zatrzasnął skoble w drzwiach i stanął nieruchomo pod ścianą.

Hanti patrzyła na niego rozszerzonymi oczami.

- Jesteś potworem? - spytała.

Wilkołak skinął nieznacznie.

- Pomóżcie mi! - ponaglił zdenerwowany mag.

Mistrz Jakub po wydobyciu bełtu z płuca nie powinien był mówić ze względu na ryzyko krwotoku. Ale musiał opowiedzieć wszystko.

Więc szeptał. Pobladli Rodmin i Hanti trwali pochyleni nad nim,

z uszami przy jego ustach. Tylko Dekart stał nieporuszony pod ścianą, jakby zapadł w letarg.

Na wieść o odczłowieczeniu Ksina, Hanti wydała stłumiony szloch,

a Rodmin pokręcił głową. Chwilę później kat skończył mówić i niemal natychmiast zasnął. Hanti w całkowitym milczeniu łykała łzy. Mag

ze stężoną twarzą zaczął chodzić po pracowni w tę i z powrotem. Parokrotnie zbliżył się do regału z czarnoksiężskimi księgami i tuż pod nim robił zwrot na pięcie, po czym odchodził. Za każdym razem jednak zbliżał się do regału coraz bardziej i stał przy nim nieco dłużej.

Po kilku minutach stało się jasne, że toczy wewnętrzną walkę.

- Czy jest dla Ksina nadzieja? - spytała cicho Hanti.

- Nadzieją bym tego nie nazwał... - odrzekł posępnie mag.

- Ale możesz coś zrobić?

- Mogę.

- Uczyni to zatem! - dziewczynę aż poderwało.

- Nie wiesz, o co prosisz.

-Nieważne, pomóż mu!

- Są środki, których cel nie uświęca...

- Idzie o życie króla i Suminor.

- Zamilcz kobieto! - Rodmin chwycił się za skronie. - Potem nigdy już nie będziemy tacy sami...

- Martwisz się o siebie?! - nacisnęła.

- I o ciebie.

- Nie musisz. Oddam duszę i ciało.

- Dokładnie tyle potrzeba... - mag stał nieruchomo z poszarzałą twarzą.

- Rodminie!

- Dobrze! - podszedł do regału i gwałtownym ruchem zmiotł na podłogę wszystkie księgi. Za nimi, w ściennej wnęce spoczywało ukryte jeszcze jedno dzieło, dokładnie zawinięte w czarny aksamit.

Królewski mag przeniósł tę księgę na stół, rozpakował i otworzył. Zaledwie dotknął jej kart, palce i dłonie zsiniały mu jak odmrożone. Ręce maga przybrały trupi wygląd.

- Są teksty - przemówił Rodmin - które sprawiają, iż czytając je

stajesz się trupem od środka, choć z zewnątrz niczego nie widać. To

dzieło jest uczciwsze. Jawnie ostrzega czytelnika, co może mu się przytrafić... - znalazł odpowiednią stronę, założył zakładkę. -A teraz - zwrócił się do Hanti - oddasz mi całą swoją miłość...

Tefi - córka bednarza Iliny - miała czternaście lat i była dziewicą.

Mieszkała w Dakli, wiosce leżącej przy trakcie do Deremy, pięć mil

od Katimy. Od najmłodszych lat Tefi lubiła wystawać przy płocie, patrząc na przejeżdżających kupców, żołnierzy, wielkie damy i dostojników. Marzyła, że kiedyś i ona wyruszy w taką podróż z rycerzem lub księciem, który zabierze ją w daleki świat. Wiedziała, iż większość mijających ją ludzi służy królowi. Kiedyś przez Daklę przeciągnęła cała armia i ojciec powiedział, że ci wszyscy przystojni młodzi żołnierze oraz ich wódz w lśniącej zbroi, jadący na pięknym białym koniu, idą umrzeć za króla. To z pewnością musiało być takie wzniosłe i wspaniałe... Innym razem, na widok orszaku dam dworu, spytała matkę, czy one też umierają dla króla. "Nawet wiele razy...", odpowiedziała matka uśmiechając się tak dziwnie.

Serce Tefi biło mocniej, gdy mijający dom żołnierze zwracali na nią

uwagę, uśmiechali się, wołali: "Hej, ślicznotko". Jednak nie zainteresował się nią dotąd żaden książę ani oficer. Ci mijali Tefi obojętnie, jakby była tylko częścią płotu. Na domiar złego rodzice coraz rzadziej pozwalali jej wystawać przy drodze. Przez ostatnie dni zupełnie nie miała na to czasu.

Dziś jednak było inaczej. W sąsiedniej, bliższej Katimy Dagrze spaliła się karczma i podobno wydarzyło się tam coś jeszcze straszniejszego. Ojca wezwano na zebranie gromady, a matka pobiegła wypytać sąsiadki. Tefi mogła więc znów zająć swoje ulubione miejsce przy płocie.

Niebawem drogą nadjechała konno samotna kobieta. Była bez wątpienia wielką damą i w przeciwieństwie do wielu innych podróżnych

nie spieszyła się zbyt. Jechała powoli rozglądając się uważnie.

Nagle spostrzegła Tefi i zatrzymała się przy niej. Dziewczyna zamarła z wrażenia.

- Jak ci na imię? - zapytała kobieta.

-Tefi, pani... - odpowiedziała drżącym głosem.

- Czy pragniesz służyć królowi?

Przez moment Tefi nie była zdolna uwierzyć własnym uszom. Piękna i smutna zarazem twarz obcej kobiety oraz jej pytanie zupełnie

oszołomiły dziewczynę.

- Zatem? - ponagliła Hanti.

- Tak, pani... - Tefi ogarnęła fala gorąca.

- Dobrze, lecz jest jeden warunek. Czy jesteś nietknięta?

-Ja... Nie rozumiem, pani...

- Czy leżałaś z mężczyzną lub chłopcem? - w głosie pytającej pojawiło się gniewne zniecierpliwienie.

-Ja... leżałam obok brata... i siostry, pani. Kiedyś spaliśmy w jednym łóżku...

- Nie o to pytam! Czy leżałaś kiedyś naga, z rozłożonymi nogami pod obnażonym mężczyzną, a on wdzierał się w twoje łono?

Tefi splonęła rumieńcem.

-Nie pani... nigdy... ale...

- Co za ale?!

W oczach dziewczyny pojawiły się łzy.

- Widziałam jak Dań, syn kowala robił tak w lesie z Miną, moją starszą siostrą. Myśleli, że nikt ich nie widzi. Ona najpierw narzekała, że boli, a potem mówiła, że chce jeszcze i...

- Dobrze - ucięła Hanti. - Możesz służyć królowi...

- Naprawdę, pani?! - Tefi aż podskoczyła.

-Tak- twarz Hanti ściągnęła się. -Ale jeśli wstąpisz na służbę dla króla, czy będziesz gotowa za niego umrzeć?

- Tak, pani!

- Zapytam raz jeszcze: Czy jesteś gotowa umrzeć za króla?

-Tak, pani...

Hanti sięgnęła szybko do wiszącej na biodrze sakwy.

- Zatem, niech się stanie! - cisnęła w twarz Tefi garść czarnego pyłu.

- Pani!... - dziewczynie zakręciło się w głowie. Kurczowo przytrzymała się płotu, zamykając oczy. Kiedy je otworzyła, dziwna dama była już daleko. Wracała... Tefi patrzyła za nią chwilę, po czym niepewnie ruszyła do domu. Nie mogła zebrać myśli, działo się z nią coś dziwnego.

Przed wjazdem do wsi na powracającą Hantinię czekał Dekart, skrywający swoje dwie głowy pod obszernym kapturem. Koń wilkołaka miał przytwierdzony do łba silny, porażający wolę amulet.

- Gotowe... - rzekła Hanti znużonym głosem. - Możemy wracać...

Kaptur wilkołaka poruszył się przecząco.

- Nie?

Wyciągnięte ramię wskazało drogę do Katimy, potem Hanti.

- ja sama?

Dekart potwierdził niemo.

-A ty?

Wilkołak nie odpowiedział. Siedział na koniu nieruchomy, wyniosły jak posąg.

- Dobrze, żegnaj - żona Ksina trąciła wierzchowca piętami. Kiedy

zniknęła w dali gościńca, Dekart zsiadł z konia, po czym ściągnął mu

amulet obezwładniający. Zwierzę zarżało przerażone, stanęło dęba i

rzuciło się do ucieczki. Za moment dwugłowy wilkołak został zupełnie sam.

Namyślał się chwilę, a następnie zszedł z traktu i zniknął w przydrożnych krzakach.

Tefi czuła na przemian chłód i żar, a przede wszystkim dojmującą

tęsknotę. Kiedy tylko przymykała oczy widziała twarz młodego męż-

czynny o dziwnych, jakby kocich rysach. Kochała go, pragnęła, pożądała. Tefi nie potrafiła nazwać swoich uczuć i nie wiedziała, że owładnęła nią bezgraniczna miłość oraz namiętność, jakie rzadko stają się udziałem nawet dojrzałych kobiet.

I było coś jeszcze: wyraźny zew wskazujący drogę. Nigdy nie widziany kochanek przyzywał ją z bólem i żarem. Zawarta w wezwaniu

obietnica przyprawiała Tefi o zawrót głowy. Przez cały dzień wszystko leciało jej z rąk. Wzrok miała błędny. Gdy pytano czy jest chora,

wzruszała ramionami.

O zmierzchu wezwanie przybrało na sile. Nie mogła zasnąć.

W dole brzucha narastał ucisk, pomiędzy nogami czuła wilgoć. Zwykłe odgłosy z postania rodziców teraz doprowadzały Tefi do szaleństwa. Podwinęła koszulę, wsunęła rękę między nogi. Rozkosz uderzyła jak piorun, lecz zaraz po niej nadbiegła fala stokroć silniejszego pożądania oraz rozdierającej umysł tęsknoty. Wcześniej chciała

zaczekać aż wszyscy zasną, ale teraz okazało się to niemożliwe. Jak

błędna wstała z łóżka i bosy podbiegła do drzwi. Zaczęła się zмагаć z zasuwą.

-Tefi co robisz?!

Przeszkoda ustąpiła. Dziewczyna wypadła w noc.

- Hej, co się z nią dzieje?

- Może to urok...

- Co mówisz kobieto?!!

Tefi biegła przed siebie, nie przystając, bez wahania, z całkowitą

pewnością kierunku. Pędziła prosto w ramiona kochanka. Nie zwróciła uwagi, że za nią przemyka jakaś postać, a w coraz bardziej odległych domach wioski rozbłyskuje więcej i więcej światła, że iskiery

pochodni gromadzą się stopniowo w jedno miejsce.

Przed sobą usłyszała głuchy ryk. To on! Jej umiłowany! Krew zawrzała w żyłach. Przyśpieszyła kroku. Prędeż! Prędeż! Kolejny ryk

rozdrażnionego demona zabrzmiał w jej uszach jak miłosne wyznanie. Gdy zabłyśły przed nią fioletowe ślepie, dziewczyna wyciągnęła

ręce. Tak bardzo pragnęła zrobić dla niego wszystko, uczynić szczęśliwym... Mgnienie oka później kły kochanka wbiły się w jej gardło, przyprawiając Tefi o niewystowioną ekstazę.

Dekart odwrócił wzrok.

Doskonale słyszał dobiegające z odległości stu kroków odgłosy kotołaczej uczty oraz to, co stało się, gdy zaczęła działać krew dziewicy i wspomagający ją czar. Rozległ się przejmujący, lecz całkowicie ludzki krzyk bólu. Czarna magia na służbie dobra sprawnie wypełniała swoje zadanie...

Dekart spojrzął w tamto miejsce dopiero wtedy, gdy jęki ustały,

a z ziemi podniósł się oszołomiony mężczyzna. Zataczając się jak pijany w sztok, ruszył gdzieś przed siebie i przepadł w mroku. Wówczas Dekart poddał się Przemianie. Minutę później jako dwugłowy

wilkotak ruszył na miejsce Ofiary. W formie bestii łatwiej było mu

znieść widok, jaki tu zastał i wykonać to, co zamierzył.

Starannie wytarzał się w szczątkach i krwawym błocie, po czym usiadł

i czekał. Wiedział, że czarna magia jest rzeczą przewrotną i nigdy nie zadowala się ceną, którą zapisano w księgach o kartach z ludzkiego pergaminu. Że w istocie rzeczy nigdy nie posłuży dobru. Chyba że...

Od strony wsi zbliżał się gęszcz pochodni, Już słychać było nerwowe nawoływania tłumu. Dekart uniósł oba łby, nabrał głęboko powietrza i zawył donośnie. Światła zbiły się ciasniej, a pomruk wzburzenia przybrał na sile.

Dekart siedział nieruchomo i cierpliwie czekał aż tłum odnajdzie

go i otoczy Kiedy światło pochodni zalało to miejsce, rozległy się krzyki przerażenia i grozy. Ludzie stanęli porażeni świadectwem własnych oczu. Widząc, iż nie są w stanie się ruszyć wilkotak demonstracyjnie polizał łapę. Starannie wybrał miejsce, w którym nie było ani śladu krwi Tefi, ale oni o tym nie wiedzieli.

Ktoś zakrzyknął nieludzko, rozdierająco i z tłumu wypadł oszalały Hino, ojciec Tefi. Oburącz zamachnął się widłami. Dekart uskokczył bez

irudu i celowo popełniając błąd złapał obiema paszczami za drzewce,

odslaniając głowy i karki. Tłum eksplodował nienawiścią. Mieli osinowe koły, srebrne sztylety i miedziane siekiery. Lecz mimo to długo trwało nim czarna połowa magii otrzymała swą dodatkową zapłatę...

- Mistrz Jakub śpi - rzekł Rodmin do wchodzącej Hanti. Oboje ze

ściągniętymi, naznaczonymi starością twarzami przez długą chwilę patrzyli na siebie bez słowa.

- Co teraz? - szepnęła w końcu Hanti.

- Myślę, że czar zadziała - odparł mag. - Jednak kiedy Ksin wróci, czy ty potrafisz żyć z nim bez miłości?

- Potrafię pokochać go na nowo! - stwierdziła stanowczo unosząc

głowę. - A jeśli nie, będę udawać! Robiłam to nie raz...

- Przez całe życie?

- Przez całe życie - powtórzyła jak echo. - A co z tobą?

- Ja zapłaciłem latami swojego życia - odpowiedział Rodmin. - Nie

wiem, ile mi ich przeznaczono, ale teraz będzie dokładnie o dwadzieścia mniej...

- Nie możesz ich odzyskać? Podobno są sposoby...

- Owszem - mag uśmiechnął się gorzko. - Ale za czar przedłużający życie trzeba wpierw zapłacić kolejnymi latami, bez gwarancji, że się

powiedzie. To rodzaj gry Zyskujesz i tracisz, tracisz i zyskujesz... W końcu opętany ową grą nie możesz już uwolnić się od tej księgi - wskazał na stół. - Stajesz się jej niewolnikiem i... - zawiesił głos - na dłuższą metę okazuje się, że to ona wygrała. Sam wyjąłem to przeklęte dzieło z rąk maga, którego śmierć ze starości i rozpad dosięgły w momencie przewracania karty. Nie skorzystam z tego sposobu.

- Rozumiem... - westchnęła Hanti. - Ale czy Ksin..., kiedy wróci... Czy będzie taki sam jak dawniej?

Mag zamyślił się.

- Tak, Hantińjo - odrzekł po chwili. - Lecz coś głęboko w nim zostało złamane i tak już pozostanie na zawsze.

9. Krypty Rohirry

Ksin szedł przed siebie przez noc nic nie widząc i nic nie pojmując. Przemiana cofała się stopniowo. Czar, którym go obłożono, pętał z wolna jego demoniczną naturę i spychał ją w głąb psychiki, pozwalając wydostać się człowieczeństwu. Znowu stawał się ludzką istotą,

przynajmniej w większej części, jednak zło tkwiące w jego naturze

nie zostało pokonane. Przeciwnie: teraz było większe, tylko mocniej

spętane.

Dotarł do brzegu jakiegoś bagnistego strumyka, potknął się, runął

twarzą w wodę i tak już pozostał. Leżał w wodzie do świtu, wtedy

zaczęły pracować płuca. Ksin zachłysnął się i poderwał. Dłuższą chwilę wykrztuszał wodę, po czym przytomniej rozejrzał się dookoła.

Ostrożnie sięgnął myślami w głąb rozkojarzonego umysłu szukając

wspomnień. Coś się z nim stało... Ale co? Przypomniał sobie wampira, Redrena i natychmiast poderwał na równe nogi. Zew Obecności! Gdzie on jest?! Zaczął nasłuchiwać mentalnych wibracji.

Nic. Przepadło...

Może jednak nie. Był po prostu zbyt rozbity, miał wrażenie jakby

rozszarpano mu duszę... Może to przejdzie? Na skraju świadomości

błąkało się przecucie, że zrobił coś strasznego. Kotołak popatrzył po sobie. Ubranie w strzępach.

Koszuli właściwie nie było w ogóle, został po niej tylko kawałek lewego rękawa. Spodnie trzymały się cudem, od butów odpadły podeszwy.

Czyżby pił ludzką krew? Niemożliwe! Nie pamiętał nic podobnego. Więc skąd ta myśl? Co się stało? Wiózł go mistrz Jakub, a potem

ocknął się w wodzie... Trzeba by odnaleźć kata? Nie! Trzeba iść na

południe, za wampirem. Kiedy trochę dojdzie do siebie powinien wyczuć jego Obecność. Coś się jednak stało...

Nie było sensu tego rozważać! Kotołak przeszedł przez strumień i podążył w kierunku lasów Rohirry. W miarę jak powracały mu siły przyśpieszał kroku. Około południa czuł się już doskonale. W jednej z mijanych wiosek ukradł ubranie i parę chłopskich, skórzanych łapci, przypominających sznurowane wysoko sandały. Było to dziwne, ale zupełnie nie czuł głodu. Tak, jakby niedawno zjadł bardzo sycący posiłek...

Nie chciał o tym myśleć! Na szczęście wczesnym popołudniem odebrał zew Obecności ściganego wampira. Pierwsza fala emocji sprawiła,

że ręce same zamieniły się w kocie łapy. Ksin popatrzył na nie zdumiony. Nigdy dotąd Przemiana nie zachodziła u niego z taką łatwością...

Kasztelan Diny zmarszczył brwi.

- Może to tylko podjazd? - zapytał.

Zwiadowca pokręcił przecząco głową.

- Nie, panie, co najmniej połowa legionu. Dłużej nie liczyłem, by

szybciej przybyć z tą wieścią.

- Pół legionu między nami a Diną! - Sagino uderzył pięścią w stół.

- Można się było tego spodziewać! Kiedy księżę odszedł z legionem w Puste Góry droga do Diny stanęła otworem. Wiedzą, że Gesren bez rozkazów i posiłków nie wystawi nosa z Kemru, zatem większością sił pociągnęli na Dinę... - myślał głośno.

- Trzeba zawrócić nasze statki, niech przybywają z pomocą - odezwał się jeden z obecnych w namiocie setników.

- A ja odesłałem wraz z nimi jedną trzecią naszych ludzi... - Sagino zgrzytnął zębami. - Lecz biegnij, Jano, i natychmiast wyślij za nimi trzech gońców. Niech każą Forpartowi rzucić wszystko i iść nam z pomocą. Niech bierze wszystkich zdolnych do noszenia broni.

- A statki?

- Do piekieł z nimi! Spalić! Albo nie... W końcu zamierzamy wygrać tę bitwę... Niech Forpan zostawi tam kilku ludzi, którzy w razie czego podłożą ogień.

- Rzekłeś "bitwę", panie? - setnik Jano popatrzył wyczekująco.

-Tak, przyjmujemy bitwę. Z taką ilością wozów i z dala od drogi nie mamy szans zdążyć do Diny przed Wyspiarzami. Zostając tutaj zyskujemy kilka godzin na przygotowania, zanim nas znajdą. Idź Jano, wyślij gońców i zwołaj oficerów na naradę.

- Tak, panie! - setnik szybkim krokiem opuścił namiot.

Kwadrans później kasztelan Sagino powiódł stanowczym spojrzeniem po twarzach swoich podwładnych. Siwe włosy i twardy wzrok

upodobniały go teraz do starego wilka.

- Mamy tysiąc szesnastu ludzi, sto dwadzieścia wozów i tuzin balist - oznajmił. - Wyspiarze mają nad nami trzykrotną przewagę, co

oznacza, że nie będą oczekiwać od nas aż to my ich zaatakujemy -

uśmiechnął się zimno. - Ustawimy wozy w czworobok, opierając się

jednym bokiem o brzeg rzeki - pokazał miejsce na mapie. - Od strony drogi ustawicie wozy w potrójnym szeregu, tylko od rzeki wystarczy jeden rząd. W krótszych bokach będą otwierane bramy dla jazdy,

tak ustawcie tam wozy, by można je było przetaczać. Nad bramami,

na narożach czworoboku stanie po sześć balist. Ile mamy jazdy?

- Trzystu pięćdziesięciu jeźdźców, panie, łącznie z tymi, co siadą

na oklep na zwierzętach pociągowych...

- Podzielić ich na dwie grupy i uszykować przy bramach. Pięciuset

pieszych broni dłuższego boku od strony drogi, reszta bram i pilnuje brzegu rzeki. Do dzieła, rycerze!
Dosyć już było magii. Pora na uczciwą stal!

Oficerowie wybiegli z namiotu.

Wykonanie rozkazów kasztelana zajęło im około trzech godzin. Wozy rozstawiono według planu, spięto je łańcuchami, zablokowano koła. Z tych stojących na brzegu czworoboku wyładowano zawartość

i złożono ją w ziemnych jamach. Wykopaną ziemię załadowano w worki i skrzynie, którymi ostonięto balisty i umocniono pierwszą linię wozów. Przez cały czas na placu wewnątrz czworoboku wrzała szalona

krzątania, zamieniająca się chwilami w chaos. Na czas przygotowań

trzeba było wyprowadzić na zewnątrz konie. Stopniowo wszystko -

przedmioty i ludzie - znalazło się na swoich miejscach.

Obok balist ułożono stosy ołowianych kul wielkości pięści, powbijano w ziemię wielkie bełty długości jednego łokcia. Najdłuższe i najcięższe pociski - przeznaczone do strzelania w tłum strzały o rozłożystych grotach, przypominających zrobione z szabel kotwice - ułożono tak, by ostrza sterczały na grzbietach umocnień.

Rozpoczęło się czekanie.

Słońce minęło południowy szczyt swej wędrówki i gorąc dnia zaczął

z wolna tracić na sile. Żołnierze przestali się kryć w cieniu taboru.

- Dobra pora by walczyć - rzekł Sagino do setników stojących razem z nim na jednym z pustych wozów.

Na początku godziny drugiej po południu w zaroślach pomiędzy taborem, a drogą do Diny zaczął się ruch.

- Napiąć cięwy! - rozkazał kasztelan. - Krótkie strzały!

Zaskrzypiały korby mechanizmów naciągowych balist. Pomędzy

dłuższym bokiem taboru, a obszarem młodników i krzewów rozciągało się mniej więcej trzysta kroków otwartej przestrzeni, na której

wykarczowano z grubsza kępy chaszczy. Teraz po drugiej stronie pola zamigotała stal. Fala zbrojnych wylała się na skraj nadrzecznej równiny. Szeregi, kolumny, luźne gromady wyroiły się z trzech stron taboru i zaczęły formować szyki. Błękitno-zielone sztandary Cesarstwa

oznaczyły miejsca zbiórki poszczególnych setek.

- Wymierzyć w największy tłum! - zawołał Sagino i odczekawszy chwilę zakrzyknął: - Strzelać!

Huknęły ciężki. Pierwszy tuzin bełtów pomknął w stronę wroga i przepadł w skłębionej masie Wyspiarzy. Nie dało się dostrzec, czy ktoś padł. Odpowiedzią był narastający krzyk gniewu, który przeszedł zaraz w ponury pomruk.

- Ładować i strzelać! - polecił kasztelan. - Nie żałować pocisków!

Po trzeciej salwie Wyspiarze zamilkli. Z zimną krwią kontynuowali ustawianie szyku. Dwanaście balist nie mogło pokrzyżować zamiarów trzech tysięcy ludzi. Zaraz też pojawiły się ich własne katapulty i balisty.

Pierwszy gład o średnicy półtorej piędzi wyrwał płachtę darni przed

linią wozów, odbił się i łupnął donośnie w burtę któregoś z nich. Za nim nadleciały następne. Chwilę później zabrzmiał przeraźliwy trzask łamanego drewna; w powietrze wyleciał snop drzazg, ktoś wrzasnął głośno.

- Mierźcie w ich maszyny! - zawołał Sagino.

- Panie, ustąp z wozu, stoisz na widoku - doradził mu jeden z setników.

Jakby na podkreślenie tych słów długa strzała przebiła z trzaskiem

burtę sąsiedniego wozu i utknęła w podłodze. Klęczący tuż obok legionista odsunął się w popłochu.

- Dobrze - zgodził się kasztelan. - A ty! - krzyknął do wystraszonego żołnierza - pilnuj swego miejsca, bo lepszego ukrycia i tak nie

znajdziesz!

- Tak, wasza miłość! - odpowiedział legionista.

Sagino zszedł z wozu i ruszył na obchód pozycji.

Pojedynki machin strzelających zaczęły się na dobre. Po stronie Wyspiarzy przybywało ich coraz więcej, aż w końcu przeszło trzydzieści katapult i balist miotało na tabor Suminorczyków grad kamieni i strzał, które roztrzaskiwały osłony, przyszpilały, miażdżyły ludzi, wywoływały panikę wśród koni.

Żaden z jeźdźców nie siedział w siodle, stali, mocno trzymając wierzchowce za uzdy; niektórym udało się zmusić zwierzęta do ukłęknięcia. Wszyscy dzierżyli obnażone miecze. Kiedy bowiem jakiś ciężko ranny koń wpadał w szal z bólu, jedynym sposobem uniknięcia chaosu było jego natychmiastowe dobiecie.

Skupienie ostrzału suminorskich balist na machinach przeciwnika

zaczęło szybko przynosić efekty. Najpierw jedna ze strzał przecięła

wiązkę skręconych cięgien, wprawiających w ruch łyżkę wyspiarskiej

katapulty. Uszkodzona machina podskoczyła wysoko i wykonała epileptyczny taniec, powalając dwóch żołnierzy obsługi. Reszta uciekła czym prędzej. Potem jednej z balist odstrzelono koło, eliminując ją z dalszej walki. W kolejnej, suminorski bełt przeciął napiętą cięciwę, w wyniku czego celowniczy stracił głowę. Kasztelan Sagino na własne oczy zobaczył, jak wystrzelona tuż przy nim ołowiana kula, zakreśliwszy płaski łuk, uderzyła w środek tułowia dowódcę wrogiej baterii. Wyspiarz przeleciał jakieś dziesięć kroków do tyłu, padł na plecy, chwilę przebierał rękami i nogami jak przewrócony żuk, po czym znieruchomiał.

Gdy zniszczono piątą, wrogą maszynę, wyspiarze zmienili taktykę

i skoncentrowali ostrzał na narożach taboru Suminorczyków. Skutek

był druzgoczący. Wobec dwukrotnej przewagi siły ostrzału na nic zdały się osłony z wozów i skrzyń wypełnionych ziemią. W ciągu minuty strzaskano dwie suminorskie balisty. W następnej chwili głaz z katapulty złamał ramię łuku trzeciej. Kawał drewna, szarpnięty przez

cięciwę, chlasnął w tył niczym monstrialny bat. Czterej żołnierze obsługi z połamanymi rękami, zębami i zmiażdżonymi twarzami, wyjąc z bólu zaczęli się tarzać po ziemi.

-Wycofać balisty w głąb taboru! - rozkazał Sagino podchodząc do zrujnowanego stanowiska. -
Pojedynczo! Niech myślą, że je zniszczyli!

Ktoś pobiegł przekazać rozkaz do drugiego narożnika.

Suminorski ostrzał osłabł gwałtownie i ustał. Wyspiarze wzniesli

triumfalny okrzyk. Ich pociski znów zaczęły spadać na cały tabor. Ale

nie trwało to długo.

Ruszyła piechota.

Wyspiarze postanowili uderzyć całą siłą, z trzech stron naraz. Kiedy

rozwijające się do ataku szyki pieszych zasłoniły maszyny, uniemożliwiając kontynuowanie ostrzału, kasztelan Sagino polecił ustawić balisty z powrotem na pozycjach. Na cięciwy założono strzały o szablanych grotach.

- Jazda na koń! - rozkazał w następnej chwili. - Otworzyć bramy!

Gdy nadchodzące szeregi Wyspiarzy dotarły do połowy pola padł

rozkaz:

- Strzelać!

Rozległ się świst jakby stu żołnierzy zakręciło młyńca mieczami.

Strzały obracały się w locie sprawiając, iż rozłożyste ostrza ich grotów cięły powietrze ukośnie z siłą topora. Wymierzono je tak, by leciały na wysokości głów i ramion.

Dziewięć tych wysłanników śmierci wpadło z impetem w gąszcz

nacierających, rozłupując hełmy, rozchlastując szyje, szczęki, twarze, ścinając drzewca włócznie. Śmiercionośne kotwice wyrąbały w szeregach krwawe bruzdy, mieszając linie Wyspiarzy, zmuszając ich do zwolnienia kroku. Kiedy ociekający potem żołnierze z obsługi balist długimi dźwigniami nakręcali ponownie mechanizmy naciągowe, trzeszczące złowieszczą pod wpływem potężnych sił, ruszyła jazda.

Sagino nie tracił czasu czekając aż konni staną strzemię przy strzemieniu. Zaledwie po wyjściu z bram jako tako uładzili szyk, pchnął ich do kontrataku. Nie było miejsca, by rozpędzić konie do galopu. Poprzestali na cwale, a dobiegając do przeciwnika miotnęli przed siebie chmurą oszczepów i uderzyli w ślad za nimi.

Piechota i jazda starty się przed krótszymi bokami taboru, zaś fala

nacierających Wyspiarzy dopadła dłuższego. Jeszcze drugi raz kotwico-strzały zebrały swe krwawe żniwo, po czym wszystko zawisło od

mieczy i włócznie.

Pierwsi Wyspiarze, którzy wdrapali się na wozy, odpadli z roztrzaskanymi głowami i odrąbanymi ramionami. Z drugą falą nie poszło tak łatwo. Oślaniani przez włócznie idących za nimi towarzyszy, nacierający przenieśli walkę na skrzynie wozów tworzących zewnętrzny szereg taboru. W dzięki ciasnocie sztylety były bardziej przydatne od długich ostrzy. Krótkie miecze suminorskich legionistów okazały się błogosławieństwem, ale i piechota morską Kahara V przywykła walczyć w tłoku panującym na pokładach zdobywanych statków.

Suminorczy nie ustępowali. Ścierali się z Wyspiarzami w otwartym boju, twarzą w twarz, lub razili ich podstępными sztychami, wypychając ostrza pomiędzy deski wozów, bądź wyskakując nagle ze szczelin i zza burt. Na ziemi, pod osiami, wśród unieruchomionych kół paznokcie i zęby okazywały się nie gorsze od sztyletów.

Kasztelan Sagino, chcąc dać przykład żołnierzom, własną osobą

wdarł się w gąszcz walczących. Kogoś przebił, wziął cięcie w lewe ramię, osłabione przez naramiennik, lecz zakończone dotkliwym skaleczeniem, a wreszcie uderzony w twarz głowicą miecza zleciał między wozy i zaplątał w spinających je łańcuchach. Nad nim wywiązała się zjadła rąbanina, w wyniku której oczyszczono z Wyspiarzy ten fragment fortyfikacji, a adiutanci pośpiesznie wydostali swego wodza z pułapki.

- Panie, nie narażaj się, racz czuwać nad wszystkim - wydyszał setnik Jano.

- Masz rację - Sagino dotknął rozbitego policzka. - Za starym

na to...

O odparciu szturmowi zdecydowała jazda, która naciskana przez atakujących z boków Wyspiarzy przedostała się na tyły ich głównej linii, nacierającej na tabor od frontu. Piechurzy widząc za sobą Suminorczyków stracili zapał do walki. Zaczęli zeskakiwać z wozów i zwracać się ku nowym przeciwnikom. Potem, mimowolnie skupiając się

w większe grupy, zerwali ciągłość szyku, odstawiając środek taboru.

Suminorskie balisty wznowiły ostrzał potęgując zamieszanie.

Sagino widząc, co się dzieje czym prędzej wdrapał się na zawalony ciałami wóz.

- Rastooo!!! - krzyknął ile tchu w płucach, aż żyły wystąpiły mu na skroniach. - Bierz katapulty!!!

Setnik Rasto - dowódca oddziału jazdy broniącego północnej bramy - usłyszał rozkaz i natychmiast pociągnął za sobą kilkudziesięciu

kawalerzystów do szarży na jedną z dwóch baterii katapult i balist,

W tej chwili zupełnie pozbawioną ochrony. Dopadli ich po niespełna

minucie, w oka mgnieniu wyrzynając obsługę i uszkadzając piętnaście machin.

Wyspiarze zupełnie się pogubili. Mieli tak dużą przewagę, że sytuację mógł łatwo odwrócić zręczny manewr, lecz okazało się, iż przyzwyczajeni do walki na zatłoczonych pokładach żołnierze i oficerowie nie radzą sobie, mając zbyt wiele wolnej przestrzeni. Nikt nawet nie pomyślał, by spróbować otoczyć jazdę i odciąć jej powrót do taboru. Zamiast tego najeźdźcy zbili się w dwie bezładne gromady,

stanowiące doskonały cel dla machin miotających. Resztki porządku

prysły, gdy któryś z pomniejszych dowódców na własną rękę pchnął

kilkuset pieszych na pomoc zagrożonej drugiej baterii katapult. Zapoczątkowało to ogólny odwrót.

Rasto nie ryzykował dłużej. Suminorczyki zadowolili się zniszczeniem jednej baterii bez przeszkód wrócili do czworoboku.

- Niech pięćdziesięciu jeźdźców pozostanie na zewnątrz przy każdej bramie - rozkazał Sagino. - Teraz się zacznijcie...

Miał rację. Ledwie cofający się Wyspiarze odłonili ocalałe katapulty, natychmiast w stronę taboru pomknęły smugi dymu. Wcześniej

cesarscy nie użyli pocisków zapalających, by płonące wozy nie stanowiły przeszkody dla atakujących. Teraz nie mieli już takich skrupułów. Dziesięć garncy z olejem skalnym roztrzaskało się w obrębie taboru, bryzgając na wszystkie strony płynnym ogniem.

- Zniszczyć katapulty! - krzyknął kasztelan do strzelców przy balistach. - Gdzie durnie?! - wydarł się na kilkunastu żołnierzy biegnących z wiadrami do rzeki. - Nie wodą, bo rozszerzycie pożar! Płonący olej wypłyńcie na wierzch! Ziemią gasić! I piachem!

Wkrótce dwie trzecie obrońców taboru zajętych było walką

z ogniem. Po godzinie stało się jasne, że Wyspiarze nie zdołają zarzucić Suminorczyków pociskami zapalającymi. Zabrakło katapult.

- Nie jest źle - uśmiechnął się Sagino.

Dymiący garniec nadleciał bezszelestnie i rozbił o krawędź burty

wozu, o krok od kasztelana, zalewając go od stóp do głów płonącym

olejem.

Sagino nawet nie zdążył krzyknąć. Setnik Jano błyskawicznie wyciągnął miecz i czyniąc dowódcy ostatnią przysługę ściął mu głowę.

- Przejmuję dowodzenie - oznajmił oniemiałym ze zgrozy adiutantom. Nikt się nie sprzeciwił.

Jano podszedł do balist, by ocenić skuteczność ostrzału. Chwilę stał

za baterią, obserwując pracę obsługi oraz żołnierzy umacniających, gaszących i odbudowujących elementy fortyfikacji, rozpadające się raz

po raz pod ciosami pocisków wroga. Właśnie jedna ze skrzyń z ziemią

trafiona ciężką strzałą zleciała z łoskotem ze szczytu barykady. Trzech legionistów rzuciło się postawić ją na miejsce.

Setnik ruszył, aby spojrzeć na przedpole, lecz zamiast kroku na- przód, wbrew swej woli, postąpił dwa kroki w tył... Bełt z balisty przeniknął go szybciej niż zdążyły zareagować nerwy. Dopiero po chwili Jano poczuł łaskotanie w piersiach. Spojrzał na swój pancerz i ze zdumieniem zobaczył w napierśniku dziurę o średnicy półtora cala.

Pocisk przeszedł przez lewą pierś, trzy palce od mostka. Serce już

nie biło. Zdziwienie zastygło na twarzy Jano i pozostało na niej, gdy

on sam miękko osunął się w ciemność.

Wyspiarze ponownie formowali szyki, gotując się do kolejnego szturmu. Widać było, że tym razem uderzą tylko od frontu, osłaniani od

jazdy przez oddziały pikinierów i włóczników chroniących ich boki

i tyły.

Natarcie ruszyło zanim katapulty przerwały ostrzał. Zdezorientowani Suminorczycy przystawali bezradnie, nie wiedząc, czy mają dalej gasić pożary, czy zajmować pozycje obronne. Czas mijał, a nikt nie

wydawał rozkazu...

Okres wahania zakończyli sami Wyspiarze, przerywając bombardowanie. Wszyscy zdolni do walki obrońcy taboru zaczęli wdrapywać

się na wozy. Niespodziewanie maszyny miotające wroga obrzuciły

pociskami suminorską jazdę, strzegącą południowej bramy, wywołując panikę wśród koni.

Fala piechoty z krzykiem dotarła do linii wozów. Obie strony były

już zmęczone, tak że pierwotna zjadłość rychło przekształciła się

w monotonną rąbaninę. W tych warunkach zaczęła brać górę przewaga liczebna Wyspiarzy. Po pół godzinie zdobyli całą zewnętrzną linię

wozów. Stopniowo wypierali obrońców z drugiej. Desperackie, lecz

coraz słabsze szarże suminorskiej jazdy bezsilnie odbijały się od linii pikinierów. Nikt już nie koordynował obrony. Ta kruszyła się, pękała i ustępowała niczym kość w zaciskających się z wolna szczękach

buldoga... Brak jednego dowódcy wyszedł teraz Suminorczykom na

dobrze, gdyż każdy rozsądny człowiek, oceniwszy trzeźwo sytuację, podjąłby decyzję o złożeniu broni. Zwłaszcza, że zmagania objęły już trzeci, ostatni szereg wozów i walka w każdej chwili mogła przekształcić się w rzeź.

Bezwład obrony paradoksalnie umożliwił dotrwanie do nadejścia odsieczy. Kiedy od północy z zarośli wyłoniło się sześciuset żołnierzy i marynarzy kapitana Forparta, w obrońców wstąpiły nowe siły. Jednak Wyspiarze widząc, iż bliskie zwycięstwo znowu wymyka im się z rąk wpadli we wściekłość. Natarli z taką furią, że zdumieni obrońcy ujrzeli nagle wrogów wdzierających się do środka taboru...

Zuchwalstwo to zostało jednak szybko ukarane. Ludzie Forparta

sformowawszy cztery niezbyt równe, ale zwarte szeregi, biegiem ruszyli na Wyspiarzy. Dwie linie pikinierów, strzegące lewego skrzydła i znacznie już nadwątlone przez jazdę, nie dotrzymały pola ani przez minutę. Odrzuceni do tyłu zmieszali się z głównymi siłami, które właśnie odstąpiły od taboru i usiłowały uszykować się na spotkanie nowych przeciwników.

I znowu zabrakło im czasu na ustawienie nowych szyków. Suminorska odsiecz stała się z nieprzygotowanym tłumem Wyspiarzy, odepchnęła go od taboru i pogoniła w stronę pozycji wyjściowych jak stado baranów. Kilkunastu napastników, odciętych wewnątrz czworoboku

wozów, natychmiast rzuciło oręż i podniosło ręce do góry. O katastrofie cesarskiej piechoty morskiej zdecydował brak doświadczenia w walce na dużej przestrzeni i w rozległych formacjach bojowych.

Na oczach

osłupiałego dowódcy Wyspiarzy - kapitana Vergena - sześcuset Suminorczyków przegoniło z pola prawie dwa i pół tysiąca jego ludzi, po czym zdobyło z marszu ostatnią baterię machin miotających. Obsługa i żołnierze osłony nawet nie próbowali się bronić. Porzucając katapulty i balisty rzucili się do ucieczki. Na ten widok panika opanowała resztę

wyspiarzy. Nikt też nie usiłował bronić własnego taboru i zaimprovizowanego obozu.

- Panie! Ich z pewnością musi być więcej! - krzyknął jeden z adiutantów Vergena. - Zaraz nas otoczą!

Wódz Wyspiarzy bez słowa zawrócił konia. Teraz najważniejszą rzeczą było napisanie przekonywującego raportu dla Cesarza...

Pół godziny później kapitan Forpart pochylił się nad szczątkami kasztelana Sagino. Wokół słychać było jęki ciężko rannych. Potrzaskane wozy dymiły i ociekały krwią. Legioniści stali wokół bez słowa z opuszczonymi mieczami.

- Przygotujcie stos - rozkazał Forpart. - Niech ogień dokończy dzieła... Popioły zabierzemy do Diny.

- Do Diny, panie? - zdumiał się jeden z dziesiętników. Nazywał się Mino Dergo. - Nie ruszymy ścigać wroga?

- Jest nas niespełna tysiąc zdolnych do walki - odrzekł kapitan. -

Szaleństwem byłoby gonić dwakroć liczniejszego przeciwnika, który

przez noc bez wątpienia dojdzie do siebie. Pobiliśmy ich i powstrzymaliśmy pochód na Dinę. To wystarczy.

-A zatem... - westchnął Mino. - Nic się nie zmieniło...

Tagero, wędrowny czarnoksiężnik, tkwił przy drodze z Deremy do

Sachcn, dokładnie na granicy prowincji Kaladen i Stary Suminor. Czekał na przechodnia, który mógłby się stać jego ostatnią szansą. Chodziło o kogoś o cechach szczególnych, człowieka posiadającego rozczepioną duszę, najlepiej szaleńca, któremu wydawało się, iż jest kilkoma osobami naraz. W jestestwie takiego osobnika łatwo znalazłoby się miejsce dla jeszcze jednej osobowości, czyli duszy Tagera. Czarnoksiężnik musiał przenieść się w inne ciało, gdyż to, które miał od urodzenia umierało i nie pozostało mu już dużo czasu. Była niewielka nadzieja, iż do tej pory drogą nadejdzie odpowiedni człowiek, ale Tagero nie mógł sam wyruszyć na poszukiwania. Nie mógł opuścić swego miejsca przy trakcie.

Powodem tego był pał, na którego jeden koniec nabitó Tagera, a drugi wkopano w ziemię, by całość służyła za odstraszący przykład. Czarnoksiężnik wykonywał to zadanie już od dwóch dni i dwóch nocy. Właśnie zbliżała się połowa trzeciego dnia, a skazaniec czuł, że następnego południowego upału już nie przetrzyma. W najlepszym razie nie zdoła zachować jasności umysłu, co na jedno wychodziło.

Ruch na gościńcu był niewielki, a z nielicznych przechodniów mało kto przystawał dostatecznie długo, by Tagero mógł wysondować

jego umysł. Czarnoksiężnik zaczynał się bać. Dobrze opanowane zaklęcia chroniły go przed bólem, ale żaden czar nie mógł powstrzymać

narastającego nieubłagania odwodnienia organizmu. Był już martwy

od pasa w dół, zaczynały usychać mocno skrępowane ręce. Wspomagane przez magię serce zasilalo mózg coraz gęściejszą krwią. Zapaść

mogła nastąpić w każdej chwili.

Przeklinał swój los. Pojmano go w karczmie. Wjakiejś zapadłej, prowincjonalnej dziurze, niewartej nosić najgłupszej choćby nazwy. Rozpoznał go przypadkiem kompan pewnego wędrownego filozofa, którego duszę Tagero w przyływie fantazji przeniósł niegdyś w ciało wielkiego węża. Starszy wioski po otrzymaniu doniesienia wykazał się istic chamskim sprytem. Nikt nie okazał czarownikowi najmniejszej nawet wrogości, póki miejscowy osiłek nie wyrzwał go od tyłu ławą w potylice. Gdy się ocknął, leżał związany, zakneblowany i pozbawiony wszelkich artefaktów. Nie pozwolono mu mówić w swojej obronie.

Znalezione przy nim magiczne przedmioty uznano za dowód prawdziwości oskarżenia i o świcie Tagero poczuł w trzewiach ostrze pala.

To wszystko było tak nieprawdopodobne i absurdalne, że czarnoksiężnik wciąż jeszcze wątpił w realność swej przygody. On i jego wielkie

ambicje miały szczeznąć w przydrożnym rowie? Kiedy docierało do niego, iż to całkiem możliwe, stokroć mocniej od knebla dławil go strach.

Miał tylko jedną szansę...

Młody mężczyzna podążający traktem wyglądał na chłopa, ale

sprężystością ruchów przypominał żołnierza, lub coś w tym rodzaju.

Na jego twarzy malowało się niezwykle skupienie.

Przekrwione oczy Tagera wpatrzyły się z napięciem w wędrowca.

Ogarnięty nagłą nadzieją czarnoksiężnik zadygotał na palu. Teraz należało doprowadzić do tego, by spotkały się ich spojrzenia. Gdy wędrowiec już prawie dotarł do miejsca kaźni, Tagero wziął głęboki wdech i zabalgotał jęklawie przez nos. Mężczyzna przystanął, uniósł głowę...

Z pewnością nie był szaleńcem o jakiego chodziło czarownikowi.

W oczach młodzieńca mignęło jednak coś świadczącego o istnieniu

silnych wewnętrznych zmagarń i Tagero uznał, że nie będzie czekać

na lepszą okazję. Nie przyglądał się dłużej, lecz wyzwolił czar, który wyrwał jego duszę z konającego ciała i niczym strugę ognistych igiel wraził przez oczy w umysł przechodnia.

Ksin miał wrażenie jakby poraził go ostry słoneczny odbłysek. Wgłowie coś zaszemrało i poczuł ucisk w skroniach. Wydało mu się, że ktoś

krzyknął, ale kotołak uznał, iż dźwięk ten wydał nabitą na pal nieszczęśnik, który skonał właśnie w tej chwili.

Tagero poczuł się jak ktoś, kto przez własną głupotę wskoczył do jamy dzikiej bestii. To jednak było dużo więcej niż bestia.

W podświadomości zaatakowanego przechodnia czarnoksiężnik natknął się na upiora. Strach, który odczuwał do tej pory był niczym

wobec przerażenia, jakie ogarnęło go teraz. Tagero pojął, że dostał

się do piekła. Taka była jego ostatnia świadoma myśl, zanim wessała go kipiąca w okowach woli magma zła. Stał się zabawką, niewolnikiem, ofiarą nienawiści tysiące razy większej od tej, do której sam był zdolny. Ale nie został unicestwiony.

Trwał w męce.

Pomieszanie zmysłów ustąpiło po chwili. Fakt, iż na moment przestał odbierać zew Obecności bardziej zdziwił niż zaniepokoił Ksina.

Potańczał oczy. Już wszystko dobrze... Wampir był przed nim!

Zapominając o błahej niedyspozycji kotołak ruszył dalej. Po pewnym czasie zaczął biec. Ścigany wampir poruszał się tylko nocą, lecz

robił to znacznie szybciej od Ksina, który co prawda szedł dzień i noc bez odpoczynku, ale unikał Przemiany, gdyż jej niezwykła łatwość

budziła w nim niejasny niepokój. Poza tym nie chciał ryzykować konfliktu z mieszkańcami Rohirryskiego pogranicza, dla których demon

jakiegokolwiek rodzaju był istotą, którą należało unicestwić za

wszelką cenę. Miejscowi, w przeciwieństwie do stołecznych tępicielei, nie dzielili płodów Onego na przydatne i nieprzydatne w rozgrywkach politycznych.

Po zmierzchu kotołak zboczył z traktu i ruszył przez bezdroża Obłych Wzgórz. O świcie dotarł do granicy Puszczy Upiorów. Zew

Obecności wampira-ambasadora zmieszał się co najmniej z kilkunastoma innymi, pochodzącymi od różnych nadistot, ale Ksin dobrze rozróżniał już indywidualne wibracje stwora, którego ścigał.

Gdy cała powierzchnia słonecznej tarczy wysunęła się z horyzontu wampir jak zwykle zapadł w letarg i ucichł. Teraz zadaniem Ksina

było jak najbardziej skrócić dzielący ich dystans. Przyśpieszył kroku.

Do tej pory kotołak wykorzystywał tylko swą nadnaturalną wytrzymałość, jednak zagłębiwszy się w ostępy Rohirry nie musiał już zachowywać ostrożności. Przystanął, pochylił się i pozwolił drzemącej w nim bestii wziąć w posiadanie całe ciało. Całkowita Przemiana nastąpiła w ciągu zaledwie trzech uderzeń serca.

Ksin ryknął gardłowo i pognał przed siebie. Ziemia i ściółka bryzgnęły mu spod łap. Zwykle Przemiana wiązała się z bólem i wysiłkiem, teraz była nawet przyjemna. Poczut się tak znakomicie, jakby po długich poszukiwaniach odnalazł swą prawdziwą naturę...

To niebezpieczna myśl!, uświadomił sobie, jednak wkrótce dał się ponieść pulsującemu w mięśniach i żyłach rytmowi upajającej mocy, żywotności i płynności ruchów. Bycie bestią stało się takie przyjemne...

Pędził teraz trzykrotnie szybciej niż w ludzkiej postaci. Oznaczało to, że wampir już mu nie ujdzie. Dopadnie go najdalej przed północą!

Przedzierał się przez zarośla, potężnymi susami przesadzał wykroty i zwalone drzewa. Jego własny, emanujący dzikością i szałem zew

Obecności sprawiał, że wszelkie aktywne za dnia nieumarłe stwory chyłkiem usuwały mu się z drogi. Był królem tej puszczy! Uśpione

w swych leżach strzygi, gdy docierała do nich Obecność Ksina, odruchowo zwijały się w kłębek, przybierając pozy nienarodzonych.

Był ruchem, rytmem, pociskiem zemsty. Gniew i siła wzbierały

w nim, pulsowały aż chwilami z sierści sypały się błękitne skry. Zwykły zielony blask oczu przechodził wtedy w fiolet. Świadomość nie

opuszczała go jednak ani na moment. Biegł dokładnie w kierunku,

z którego dotarły doń ostatnie wibracje zewu wampira.

Słońce zniżało się, cienie wydłużały. Jeden z nich śmigał z zawrotną prędkością pomiędzy pozostałymi. Potem wszystkie cienie zlały

się w jedno morze mroku i pozostało tylko dwoje pałających oczu,

mknących przez ciemność niczym para bliźniaczych komet. Strzelał

deptany chrust.

Kiedy Słońce zapadło za horyzont, obecność wampira nie ujawniła się jak zwykle o tej porze w ciągu ostatnich dni. Kotołak zdziwił

się, ale nie zwolnił biegu. Skoro ścigany upiór nie kontynuował wędrówki, oznaczało to, że poprzedniej nocy dotarł do celu. W tej chwili tylko pamięć i kocia orientacja Ksina mogły pozwolić mu odnaleźć kryjówkę wampira. Jeszcze raz kotołak przypomniał sobie, z której strony odebrał ostatni

ślad Obecności byłego ambasadora i oszacował wielkość mimowolnego zboczenia z drogi. Skorygował to, po czym przyspieszył kroku.

Już z odległości pół mili dostrzegł sączącą się między drzewami różowawą poświatę. Dochodziła z kierunku, w którym podążał Ksin.

W miarę zbliżania, stawała się coraz bardziej czerwona i zyskiwała na

jaskrawości. W pewnej chwili las ustąpił miejsca polanie, pośrodku której piętrzyły się zarośnięte bluszczem ruiny. Nad ziemią, z otworu między zwalonymi kolumnami biło czerwone światło. Było tam dość miejsca, by do podziemi mogła przedostać się istota wielkości człowieka czy kotołaka. Ksin bez wahania, z całym impetem wskoczył do środka.

Znalazł się w krypcie. Łądując kotołak wzbił z podłogi tuman pyłu, który utworzył wokół chmurę mieniącą się szkarłatnymi rozbłyskami. Źródłem światła był czerwony kryształ wielkości głowy człowieka, oszlifowany w kilkadziesiąt wielokątnych płaszczyzn i leżący

w centrum pomieszczenia na postumencie z niebieskiego kamienia.

Jego jaskrawy blask wypełniał szkarłatem loch zbudowany na planie

kwadratu o zaokrąglonych rogach. W ścianie naprzeciw otworu, którym dostał się tutaj Ksin, znajdowało się łukowato sklepione przejście prowadzące w głąb podziemi.

Tkwiło tu kilkanaście szkieletów, w większości odzianych w zbroje

różnego typu. Najstarsze szczątki okrywał napierśnik z przeżartego patyną spiżu. Przy każdym kościotrupie leżała jakaś broń - przeważnie

były to miecze i topory, niekiedy zwykłe maczugi i cepy bojowe.

Rycerze, prości żołnierze, chłopci, rozbójnicy, poszukiwacze przygód..., ocenił Ksin pozycję społeczną umarłych, obchodząc ostrożnie komnatę. Obok zwłok leżała nie tylko broń, ale też nietknięte sakwy z osobistymi rzeczami. Na ostrzach nie było szczerb, w pancerzach zaś i hełmach żadnych dziur i pęknięć. Żadnych śladów walki.

Kotołak zwrócił uwagę na ułożenie szkieletów. Sprawiały wrażenie

jakby odczołgiwały się od świecącego kryształu. Być może jego światło było zabójcze dla istot ludzkich. Skoro tak. dobrze, że on wszedł

tutaj w zmienionej postaci.

Nagły ruch w kącie przerwał mu rozmyślenia. Był to nietoperz. Długą chwilę miotał się po posadzce jak w agonii, po czym jednak zebrawszy siły zerwał się i wyleciał na zewnątrz. Kotołak zwrócił teraz

uwagę na inne nietoperze, które jeden po drugim budziły się pod su-

fitem i wylatywały na łów. Te nie miały z tym żadnych kłopotów. Czyżby przyzwyczyły się do czerwonego blasku? Może ten pierwszy był

tu dopiero pierwszy raz? Wyglądało na to, że światło kryształu obezwładniało żywe stworzenia, ale tylko na pewien czas. Można było to sprawdzić, lecz Ksin miał co innego do roboty. Gdzieś tutaj ukrywał się wampir!

Kotołak wszedł do drugiego pomieszczenia. Panował w nim szkarłatny półmrok. Pod ścianami także leżały ludzkie zwłoki, ale tutaj były to rozpadające się, zetlałe mumie.

Ksin już miał przejść do następnego lochu, gdy jego uwagę przykuł

pewien szczegół. Jedna z mumii, a raczej jej fragment, gdyż była to pozbawiona rąk górna połowa korpusu wraz z głową, miała niezwyklej długości zęby. Przyjrząwszy się baczniej kotołak stwierdził, iż są to szczątki zmumifikowanego wampira... Było tu takich więcej, rozkawałkowanych, rzuconych na bezładne sterty piętrzące się pod ścianami.

W trzecim, najciemniejszym i największym lochu pałające zielonym

światłem oczy kotołaka dostrzegły dziesiątki doskonale zachowanych

mumii, leżących równymi szeregami jedna przy drugiej. Prowadziło

tu tylko jedno wejście, a zatem Ksin znalazł się u kresu pościgu.

Więc to tutaj Kahar V - Cesarz Archipelagu Południowego - mianował swojego ambasadora! Jedna z tych mumii...

Kotołak obiegił cały loch. Niczym się nie różniły! Poczul narastający gniew, wrócił na środek i przywarował. Jak zgadnąć która? Sierść

Ksina zjeżyła się, przemknęły po niej błękitne skry.

Wcale nie musiał zgadywać! Z nagłym pomrukiem furii dopadł

pierwszej z brzegu i wgrzył się w pierś. Żebra strzeliły jak chrust. W pysku poczul smak kurzu i starego pergaminu. Puścił i chwycił następną, pomagając sobie pazurami. Truchło rozprysło się w drobny mak.

Parskając, plując zeschniętymi resztkami zmiażdżył trzecią. Wstręt,

obrzydzenie spotęgowały wściekłość. Czwarta, piąta... Wpadł w szał.

przestał liczyć. Rwał, szarpał, druzgotał niczym machina mieląca strupieszale zwłoki. Zeschnięte ręce i nogi latały we wszystkie strony. Urwane, obciążone poźółką skórą czerepy turlały się po posadzce.

przeważnie mumie były puste w środku, jednak niektóre wypełniało coś na kształt zeschniętej gąbki. Po tym rozpoznawał wampiry. Smakowały jak stare szmaty.

I nagle w paszczy trysnęła mu krew. Ta mumia krwawiła! Była nasiąknięta krwią i ciężka jak świeży trup. Ksin zawył gardłowo i mocniej zacisnął szczęki. Miał go!

Wampir ocknął się, gdy zęby kotołaka dosięgły serca. Uderzył na

oślep rękami z siłą zdolną złamać kark tygrysowi, ale na Ksinie razy

te nie zrobiły żadnego wrażenia. Poderwał wampira w górę i wyrzucił go w powietrze. Pilnie baczył, by nie połknąć ani kropli wampirzej posoki. Ręce krwio pijcy zacisnęły się na karku kotałaka, ale ten zerwał uchwyt wstrząsając łbem. Potem kły Ksina wbiły się w serce upiornego ambasadora. Wampir nie miał już szans. Nadnaturalny drapieżca zakończył polowanie.

10. Pojedynek

Zielonkawa piana wciąż wyciekająca z ust leżącego na boku Redrena opadła niespodziewanie. Zamiast niej pojawił się żółty surowiczny

płyn i ślina. Czuwający stale przy łożu króla medyk natychmiast posłał po arcyświętce, ten zaś stawiał się razem z przełożonym cechu tępicielei.

- Czym tłumaczysz ten objaw, panie? - zapytał Bero medyka.

- Być może jest to oznaka zdrowienia, wasza świętobliwość.

- Doprawdy? - Bero i Bert wymienili porozumiewawcze spojrzenia. - Czy możesz przysiąc?

- Nie mogę, wasza świętobliwość, niewiele wiem o wampirzej gorączce. Jeśli jednak wampir został unicestwiony...

- Bracie Bert - arcyświętca zwrócił się do Tępicielea. - Czy któryś

z twoich ludzi dokonał tego chwalebного uczynku?

- Niestety nie, wasza czcigodność. Robiliśmy wszystko co w naszej

mocy, lecz wampir zdołał się wymknąć. Pomógł mu w tym jego współnik, kotałak Ksin, były dowódca gwardii.

- Czym zatem, drogi bracie, tłumaczysz zmianę w chorobie jego wysokości?

- Mówię to z prawdziwie ciężkim sercem... - Bert spuścił głowę.

- Jednak muszę stwierdzić, iż u naszego pana dostrzegam pierwsze objawy demonicznej Przemiany.

- Czy chcesz powiedzieć, że jego wysokość zmienia się w wampira?

- Tak, wasza świętobliwość. Jedyne co możemy teraz zrobić to zadbać, by nie ucierpiała na tym jego dusza.

- Jak się domyślam, serce króla należy dziś przed północą przebić osikowym kołkiem? - rzekł Bero.

- To smutna konieczność - Bert jeszcze bardziej pochylił głowę.

- Chcecie zamordować króla?! - wybuchną dowódca czuwającej w sypialni straży.

- Setniku - powiedział wyniośle arcyświątca. - Zważywszy na twą wierność jego wysokości wybaczam ci co i do kogo mówisz. Króla nie można zabić albowiem nie ma w nim już życia.

- Skąd ta pewność?! - nie ustępował oficer.

-A któż inny w całym Suminorze, prócz mnie i brata Berta, mógłby to stwierdzić? Lecz zapytajmy jeszcze medyka. Szlachetny panie,

czy w sytuacji, gdy wampir nie został zabity - do czego mamy pewność dzięki zapewnieniu brata Berta - wchodzi w grę coś innego niż

nieuchronna Przemiana?

- Nie wasza świątobliwość.

- A zatem... - zawiesił głos arcyświątca.

Odpowiedziało mu milczenie. Po dłuższej chwili odezwał się Bert:

- Sądzę, wasza świątobliwość, iż do czasu dokonania zabiegu straż przy łożu zmarłego monarchy powinna zostać wzmocniona wyćwiczonymi tępicielami.

- Obejdzie się... - burknął setnik, ale Bert nie poświęcił mu ani krzty uwagi.

- Pozwoliłem sobie już o to zadbać - dokończył i zaklaskał.

Otworzyły się drzwi i do sypialni wkroczyło sześciu tępicieli w lekkich skórzanych zbrojach pokrytych znakami Mocy. Byli to zaprawie-

ni weterani. Blizny na twarzach i przedramionach świadczyły, że niejednemu potworowi umknęli z paszczy. W rękach dzierżyli jednak nie

srebrną, lecz stalową broń.

Czterech gwardzistów poruszyło się niespokojnie. Ich dowódca zbladł.

-Właściwie to tępiciele powinni od tej chwili zająć się bezpieczeństwem mieszkańców pałacu - stwierdził Bert.

- To gwardia jest do tego powołana... - wycedził setnik.

- Myślę, iż mogę decydować w tej mierze - rzucił Bero.

- Muszę naradzić się z moimi zwierzchnikami!

- Przyślij ich tutaj, bym mógł im wydać instrukcje - polecił oschle arcyświęcca. - Możesz odejść setniku.

Oficer wyszedł, a znalazłszy się na korytarzu skierował się nie do kwater gwardii, lecz pobiegł prosto do pracowni Rodmina. Po kilku minutach zziębły począł dobijać się do drzwi.

-Wasza dostojność! Prędko!

- Poznaję twój głos Zelito - odezwał się mag. - Co się stało?

- Chcą przebić króla kołkiem!

Rodmin natychmiast otworzył.

- Opowiadaj!

Zelito pośpiesznie zrelacjonował zajście w sypialni.

- Zawiadam zaraz pozostałych setników - rzekł mag bez namysłu.

- Spotkamy się za kwadrans w królewskim gabinecie.

- Może być za późno!

- Nie, Zelito. Zależy im, by wszystko odbyło się w majestacie Prawa Czystości, dlatego nie zamordują króla po kryjomu.

- Czy jesteś, panie, pewien, że on nie...

- Jestem pewien. Idź!

Gdy gwardzista zniknął w głębi korytarza, Rodmin spojrzął w głąb pracowni.

- Ksin zrobił swoje, Hantińjo - powiedział. - Kiedy wyjdę zamknij drzwi i nie otwieraj, póki nie usłyszysz mojego głosu.

Nie czekając na reakcję kobiety ruszył do królewskich komnat.

- Mamy walczyć z tępicielami?! - zapytał kilkanaście minut później setnik Midro, który z racji wieku i szacunku, jakim cieszył się

wśród pozostałych oficerów, objął w ostatnich dniach funkcję nieformalnego dowódcy gwardii. -
Wojownikami o nadludzkiej sprawności?

- Nie są lepsi od was - rzekł Rodmin. - Legendy o swej niezwyklej
sprawności bojowej rozpowszechniają oni sami, by zyskać respekt ludu.

-Wszak zabijają upiory! - zdumiał się Midro.

- Najczęściej wtedy, gdy znajdują je pogrążone w letargu lub strzelając od tyłu. Te historie o
bohaterskich pojedynkach to relacje z wypadków przy pracy.

- Nie wiedziałem o tym...

- Mało kto wie, bo oni dobrze się kryją.

- Ale co mamy robić?! - zniecierpliwiał się Zelito.

- Po prostu pójdziemy tam i wypędzimy ich z królewskiej sypialni.

- A Bero?

-Jego też.

- Arcyświętce Wielkiego Reha?!

- Król nam wybaczy.

- To cuchnie wojną domową - rzekł Midro. - Strażnicy Świątyni
nie puszczą płazem zniewagi.

- Dajcie się zastanowić... - Rodmin popatrzył w okno.

W królewskiej sypialni gwardziści patrzyli na tępicielei, ci zaś na gwardzistów i swego przełożonego.
Bert spoglądał wyczekująco na arcyświętce, a ten wpatrywał się w króla. Medyka już odesłano.

- Długo każą mi czekać ci oficerowie? - mruknął Bero.

-Wasza świątobliwość, to na nic, w pałacu panuje zupełne bezhołowie - rzekł Bert. - Racz wydać
dyspozycje - ponaglił.

Za drzwiami rozległy się kroki. Po chwili w progu stanął Midro i kilku innych setników.

-Wasza świątobliwość, racz wybaczyć opóźnienie, ale każdy z nas zajęty był swoimi obowiązkami -
zaczął Midro. - Odszukanie wszystkich...

- Wybaczam - uciął Bero. - Wezwałem was...

- Najczcigodniejszy, czy przez szacunek dla zmarłego monarchy nie
moglibyśmy pomówić gdzie indziej? - przerwał mu setnik. - Może

w królewskim gabinecie...

Arcyświętca uniósł brwi.

- Dobrze - zgodził się z wahaniem. - Bracie Bert proszę za mną.

Gdy za wychodzącymi zamknęły się drzwi i ucichły ich kroki na korytarzu, w królewskiej sypialni obróciła się ściana odsłaniając ciemny prostokąt tajemnego przejścia. Z mroku wyłonili się Rodmin i Zelito, a za nimi wyszło jeszcze czterech uzbrojonych gwardzistów.

- Co to ma znaczyć?! - zapytał podniesionym głosem jeden z tępicieli.

- Zabieramy króla - oznajmił mag. - Chory w okresie rekonwalescencji potrzebuje więcej spokoju.

- Rekonwalescencji?! - wybuchnął tępiciel. - Chcesz, by na tronie Suminoru zasiadał wampir?!

- Król wyzdrowieje. Wampir został zabity przez kapitana Ksina.

-To spisek!!!

- Setniku - Rodmin zwrócił się do Zelita. - Obawiam się, że nie przekonam tych fanatyków.

- Istotnie... - Zelito spojrzał na swoich ludzi. - Chrońcie króla.

Jeden ze strażników czuwających przy wezłowniu Redrena płynnym

ruchem pochylił włócznię i krótkim wyrzutem ramion dźgnął w podstawę czaszki odwróconego tyłem tępiciele. Cios gwardzisty wydawał się być zadany zbyt lekko, wręcz niedbale, ale ostrze z trzaskiem łamanych kości wyszło między oczami.

Równocześnie z dłoni Rodmina strzeliła błękitna błyskawica, która z odraźającym młaśnięciem rozplątała stojącego naprzeciw tępiciele na dwa dymiące kawały. Jednak inny jednym błyskawicznym uderzeniem na odlew ściął głowę jednemu z gwardzistów.

Zbrojni starli się z wściekłym rumorem. Walka trwała krótko, lecz

była wstrząsająco zajadła i krwawa. Ani gwardziści ani zabójcy

demonów nie myśleli o obronie, tylko o tym, by zaryć ostrza w ciałach przeciwników. Tępiciel, który zabił pierwszego gwardzistę w następnym momencie rozchłastał gardło drugiemu, ale śmiertelnie ranny żołnierz dokończył cios dwuręcznym mieczem i rozrąbał tępiciele od barku do pasa. Pozostali trzej, nim zostali zabici, zabrali ze sobą po jednym strażniku. Jeden z gwardzistów i tępiciel nawzajem przebili się mieczami i padli wciąż trzymając za rękojeści. Inny zabójca

upiorów zginął od ciosu toporem w chwili, gdy wyszarpywał ostrze

zaklinowane między żebrami swej ofiary. Ostatniego przyszpilono

włócznie do ściany, ale rzucony przezeń sztylet trafił w oko i przebił na wylot głowę jednego z atakujących. Nim minęło dziesięć uderzeń serca, na podłodze królewskiej sypialni leżało sześciu tępicielei i pięciu gwardzistów. Zapanował spokój.

- Nieźle wyszkoleni... - skwitował Zelito chowając miecz. - Bierzmy króla!

Setnik i trzech pozostałych żołnierzy chwycili rogi królewskiej pościeli i ponieśli Redrena w stronę tajemnego przejścia.

- Ale co powiedzą Bero i Bert? - wysapał Zelito.

- Uznają, iż było to pożałowania godne nieporozumienie - odparł

idący za nimi Rodmin. - Gdy tylko król odzyska przytomność sami

wyślą takie tłumaczenie...

W świetle dnia Ksin w ludzkiej postaci pochylił się nad ciałem wywleczonego z podziemi wampira. Z ran zabitego upiora wciąż wyciekała krew, a promienie słoneczne sprawiały, iż skóra marszczyła się i czerniała z minuty na minutę. Do wieczora z truchła pozostanie tylko pył. Kotołak jednak nie zamierzał czekać tak długo. Chciał jak najszybciej odnaleźć amulet kierujący wampirem.

Ktoś zadał sobie wiele trudu odnajdując w rohirryjskiej głuszy to

prastare gniazdo wampirów i przygotowując jednego z nich do

zamachu na króla Suminoru. Na stworza, który odegrał rolę ambasadora nałożono cały szereg czarów ochronnych oraz kilka warstw iluzji, podtrzymywanych przez system artefaktów, jednak najważniejszą rzeczą było zapewnienie sobie uległości takiego wysłannika.

Gdzieś w jego ciele musiał więc tkwić amulet kierujący i zapewniający łączność z czarnoksiężnikiem, który przygotował oraz wyprawił

w drogę tego demona.

Po namyśle Ksin przekształcił przedramiona w kocie łapy i zaczął

metodycznie rozrywać truchło na drobne kawałki. Nie znalazł amuletu w piersiach ani w brzuchu, wypełnionych jednolitą, szarą, gąbczastą masą, z której pod naciskiem łap tryskała krew ofiar bestii.

Pozostała jeszcze głowa.

Kotołak przycisnął twarz lewą łapą, pazury prawej wbił w zmętniałe oczy i pewnym ruchem oderwał czerep. Mózg usunięto w procesie mumifikacji, ale pozostawiono rdzeń kręgowy, który po Przemianie wykazywał wystarczającą aktywność, by zawiadować ruchami

wampira i być siedliskiem jego instynktów. Amulet kierujący wbity

był w dno podstawy czaszki, a jego złote wypustki dotykały uciętej

powierzchni rdzenia kręgowego. Artefakt najprawdopodobniej wepchnięto do wnętrza przez nos.

Ksin wydłubał magiczny przedmiot

pazurem, z powrotem przekształcił łapy w ludzkie ręce i podrzucając amulet na dłoni ruszył przed siebie.

Teraz należało zrobić z niego właściwy użytek... Kotołak doskonale wiedział, co powinien uczynić, ale wolał o tym nie myśleć. Podeszedł do ruin piętrzących się na środku polany i uklęknął przed jednym z głazów.

Magiczny chip miał trzy wypustki, przypominające cienkie i wiotkie, złote druciki. Ksin przypominając sobie co czytał niegdyś na ten

temat, odgryzł dwa z nich, by artefakt nie sparaliżował jego woli. Pozostała jedna wypustka oraz kolec mocujący. Oparł amulet o kamień,

kolcem na sztorc i wzięwszy głęboki wdech uderzył o niego bokiem

głowy. Kolec wbił się w prawą skroń.

Prawie nie poczuł bólu, ale artefakt jeszcze za słabo tkwił w czaszce. Uderzył powtórnie. Kość skroniowa pękła. Poczul to i usłyszał jednocześnie, aż ścierpły mu zęby. Za trzecim, konwulsyjnym uderzeniem kolec wszedł w mózg i amulet zaczął działać. Wręcz ożył. Złota wypustka poruszyła się niczym robak, popęzła po skórze, dotarła do oka i wkręciła w kanał łzowy. Ksin mało nie oszalał. Z całych sił wpił palce w zimny głaz, by powstrzymać się przed natychmiastowym oderwaniem artefaktu. To nie był ból, ale coś nieprawdopodobnie drażniącego. Prawe oko wyszło mu na wierzch, z lewego pociekły krwawe łzy. W głowie zaczęło szumieć i trzeszczeć. Pokusa, aby pozbyć się tego koszmaru wydawała się nie do opanowania. W chwili, gdy kotołakowi wydało się, iż jego wola została złamana, amulet dopasował się do nowego umysłu. Cierpienie stało się tylko lekkim bólem,

a w głowie rozległ się niezrozumiały, bełkotliwy szept. Gdyby nie

uszkodzenie artefaktu, szept ów byłby całkowicie zrozumiały, a jego

słowa nieodwołalnymi i nieodpartymi rozkazami.

Ksin odetchnął z ulgą i ostrożnie dotykając głowy ruszył na spacer

wokół polany Z docierającego przez talizman szeptu dawało się wyłowić co najwyżej pojedyncze sylaby, ale jego intonacja była całkowicie jasna. Raz wyrażała zadowolenie, to znów dezaprobatę. Zależało

to od kierunku, w którym szedł kotołak. Wezwanie i pochwały dobiegały tylko z jednej strony, gniewny pomruk, gdy maszerował w każdą inną.

Po kwadransie prób Ksin dokładnie określił kierunek, z którego dobiegało monotonne wezwanie. Natychmiast ruszył na spotkanie czarownika. Odszedł na południowy-wschód. Za nim dopalały się szczątki wampira.

Legion księcia Dargona, przeprawiwszy się przez Bezimienną Rzekę, dotarł do jej jedyne go prawobrzeżnego dopływu i pomaszerował

wzdłuż niego w głąb Gór Pustych. Wojsko posuwało się wolniej niż

to było możliwe. Nikt nie ośmielił się otwarcie sprzeciwić następcy

tronu, ale oficerowie starali się wynajdywać jak najwięcej powodów

żeby opóźnić marsz. Żołnierze szeptali, że są prowadzeni przez szaleńca na pewną zagładę, jednak nikt nawet nie wspomniał o buncie.

Był to w końcu liniowy legion królestwa Suminoru, złożony z pięciu

tysięcy ochotników, którzy przysięgli, iż w razie potrzeby, z imieniem króla na ustach pójdą choćby na samo dno piekła. A teraz wyglądali jakby istotnie tam szli. Milcząca, wijąca się między wzgórzami zbrojna kolumna sunęła noga za nogą niczym gigantyczny pogrzeb.

Dargon nie przejmował się niczym. Mówił wciąż o oskrzydleniu Wyspiarzy, czasem o honorze i tchórzostwie, i konsekwentnie prowadził

legion tam, gdzie chciał jego wewnętrzny głos. Chwilami księżę sprawiał wrażenie pewnego siebie wodza, który z rozmysłem porywa się

na pozorne szaleństwo, by całkowicie zaskoczyć wroga. To właśnie najbardziej dezorientowało dowódców manipu, którzy choć pełni wątpliwości, nie mogli zdobyć się na bardziej stanowczy sprzeciw.

Mag-Pająk z góry i oddali obserwował idący na śmierć legion. Nie

chciał atakować byle gdzie, ale w takim miejscu, gdzie żaden Suminorczyk nie uszedłby mocy Wlokuna. W magicznych annałach znajdowała się relacja o tym, jak kompania karyjskich najemników, zdążająca z Amizar do Radaganu, natknęła się na Wlokuna, który przypełził z Gór Pustych. Ocalał tylko towarzyszący kompanii czarownik, dzięki czemu

powstał fachowy opis zdarzenia. Wlokun był niewielki, a karyjski oddział liczył niespełna pół setki ludzi. Relacja zainspirowała Pajaka i pozwoliła mu oszacować, jak duży powinien być Wlokun, żeby poradzić sobie z całym legionem. Obecnie wiódł ze sobą potwora o odpowiednich rozmiarach. Najważniejsze jednak, by nie pozostał żaden świadek.

Pająkowi zależało na sławie, ale we właściwym czasie. Po takiej uczcie Wlokun z wielokrotni swe siły, a człowiek mający nad nim władzę będzie mógł mówić z Cesarzem Wyspiarzy, co najmniej jak równy z równym... Lecz na to przyjdzie pora. Teraz najwygodniejsze było, aby suminorski legion po prostu przepadł bez śladu! Do upatrzonego na

zasadzkę miejsca pozostało im trzy dni marszu.

Pająk odebrał wiadomość, że nasłany na Redrena wampir nie wrócił na stałe do gniazda, z którego wyruszył, ale obecnie zdążył na południe. Tego, co prawda mag nie zaplanował, jednak komplikacja ta

była zbyt błaha, żeby się nią martwić. Przekazom od wampira brakowało jasności. Należało przypuszczać, iż amulet kierujący uległ uszkodzeniu, bądź demon częściowo wymknął się spod kontroli. Można było temu łatwo zaradzić, a jeśli nie, to wystarczy jedno zaklęcie, aby wyzwolić skupioną w amulecie moc, która momentalnie unicestwi

zbędnego już krwiopijcę.

Czarnoksiężnik wydał niemy rozkaz i Wlokun posłusznie podążył

za nim w kierunku upatrzonej doliny.

Ksin biegł dzień i noc. Nie odczuwał zmęczenia ani nawet najdrobniejszego ubytku sił. Dziwiło go to i niepokoiło zarazem. Nigdy dotąd nie miał aż tyle energii. Zastanawiał się, co mu ją dało? Nie pamiętał, żeby spożywał ostatnio jakiś szczególny pokarm... Może więc był to uboczny efekt rzuconego nań uroku? Takie tłumaczenie mogło być do przyjęcia, gdyby nie podejrzana luka w pamięci. Coś na

dnie świadomości podszeptywało mu, aby nie próbował zagłębiać się

w ów mrok zapomnienia. Nie robił tego zatem, tłumacząc sobie, iż

ma do wykonania poważniejsze zadanie.

Rohirryjska Puszcza Upiorów przerzedziła się z wolna. Polany porośnięte stepową roślinnością trafiały się coraz częściej i były coraz większe. Po południu drugiego dnia od opuszczenia gniazda wampirów las ustąpił całkowicie i na horyzoncie zarysowały się szczyty Gór Pustych. Kotołak nadal nie czuł zmęczenia. Pędził z szybkością konia wyścigowego. Obojętnie mijał zwierzynę -jelenie i niedźwiedzie, na które zwykł polować za młodu. Przesadzał strumienie, nie przystając, aby napić się z nich choć parę łyków.

Lecz nagle stanął jak wryty. Poczł Obecność.

Chociaż... Tak, to była Obecność, ale zupełnie inna niż wszystkie

z jakimi zetknął się do tej pory. Nie potrafił zidentyfikować demona

który wysyłał te wibracje. Były tak miękkie, przyjemne... Każda Obecność zawsze zawierała groźbę i ostrzeżenie, jednak nie ta. Ksin zwątpił w prawdziwość swoich odczuć. Zaciekawiony w najwyższym stopniu postanowił zboczyć na chwilę z drogi i zbadać to zjawisko.

Nie musiał wędrować daleko. W zarośniętym kępami jeżyn jarze,

w malutkiej chatce z kamieni pokrytej strzechą z sitowia znalazł ciało starego człowieka.

Był to zmarły pustelnik do końca swych dni żyjący w zgodzie z ludźmi, bogami, zwierzętami i naturą w obu postaciach. Nie było w nim

nienawiści, nie ciążyło mu żadne przekleństwo ani żądza. W efekcie,

gdy wkrótce po śmierci moc Onego wzięła w posiadanie jego ciało,

Przemiana której został poddany nie była przemianą demoniczną.

A właściwie, należałoby powiedzieć, że Przemiana rozwinęła się tym

razem bez zakłóceń, które w większości przypadków doprowadzały

do upiornych wynaturzeń.

Kotołak patrzył jak urzeczony. Przemiana nie tylko zahamowała rozkład zwłok, ale doprowadziła do tego, że stare, pomarszczone ciało

zaczęła zastępować delikatna, biała tkanka. Proces ten był już prawie

zakończony. Wyglądało to tak, jakby ze starczej powłoki wyłaniała się

piękna, olśniewająca niczym śnieg istota. Czcigodny starzec po swej

śmierci dał początek elfowi. Było to tak niezwykle i rzadkie zdarzenie, że tych, którzy byli jego świadkiem liczyło się na palcach u rąk i skrupulatnie zapisywało w magicznych annałach. Gdzie elfy się podziewały, jak żyły - tego nie wiedział nikt. Tylko nieliczni rozumieli i dawali wiarę, iż moc Onego potrafi również tworzyć piękno i dobro.

Przypatrzwszy się elfowi, który już za tydzień lub dwa powinien

zbudzić się do nowego życia, Ksin wycofał się z chatki i opuścił parów. Zdziwiony i oszołomiony podążył własną drogą. Przez pewien

czas sądził, że spotkanie z łagodną nadistotą będzie tylko miłym wspomnieniem. Mylił się. Nawet tak krótkie przebywanie w obecności nieufornowanego jeszcze elfa okazało się mieć trwałe skutki.

Tkwiaące

w kotołaku zło zostało stłumione. Źródło niespożytej, ale niepokojącej siły napędzającej jego ciało zaczęło się nagle wyczerpywać. Po kilku dalszych godzinach biegu poczuł pierwsze objawy zmęczenia.

Do

gór zaś było jeszcze daleko...

Dolina wyglądała na bardzo bezpieczną i wygodną do marszu. Zbyt

wąska, by można w niej było rozbić obóz, ale wystarczająco szeroka

dla maszerującego wojska. Miała dość strome ściany, ale to nie powinno wzbudzić niczyjego niepokoju. Że była pułapką okazywało się

dopiero po półtorej mili marszu. Niegdyś trzęsienie ziemi przegrodziło ją ścianą zwałonych, skalnych bloków, których pokonanie nie było możliwe bez lin i drabin. Zawal znajdował się tuż za jednym

zakrętów, tak że można go było dostrzec dopiero z odległości dwustu kroków.

Mag-Pająk ulokował Wlokuna na grani pasma górskiego ograniczającego dolinę od północnego zachodu. Demon leżał nieruchomo,

oczekując na znak swego pana. Kiedy legioniści stłoczą się przed

przeszkodą, potwór runie na nich niczym lawina czaszek i pischeli, odcinając jedyną drogę odwrotu i przystępując do żeru. Nie chcąc

zbyt wcześnie użyć Wlokuna, czarnoksiężnik osobiście rozprawił się

z idącymi przodem zwiadowcami, zsyłając na nich małe, jadowite

pająki. Były one całkowicie posłuszne swemu panu - tak jak Wlokun i księżę Dargon prowadzący swój legion dokładnie tam, gdzie

go oczekiwano.

Zabicie niedźwiedzia górskiego było błędem. Krew i mięso zwierza

nie zaspokoily głodu Ksina i nie przywróciły mu sił, w każdym razie nie w takim stopniu jak oczekiwał. Kiedy niedźwiedź stanął na jego drodze, kotołak zaatakował bez namysłu. W pierwszym starciu powalił zwierza na ziemię i wygryzł mu kawał szyi, rozrywając tętnicę. Niedźwiedź był zbyt powolny, by dosięgnąć nadnaturalnie szybkiego demona.

W następnej chwili Ksin wskoczył przeciwnikowi na grzbiet i celnym

uderzeniem pazurów w kark zerwał rdzeń kręgowy, po czym przypadł

do sparaliżowanego cielska spijać tryskającą z gardła krew.

Nie smakowała mu.

Wydawała się jakąś podłą, żalostną namiastką czegoś... Nie wiedział

czego. Musiał wręcz zmuszać się do tykania. Było to nie do wiary, gdyż zawsze lubił niedźwiedzią krew. Podobnie mdła i niedobra okazała się wątroba zwierzęcia. Mięsa już nie próbował. Porzucił napoczęte ścierwo i ruszył w drogę. Stracił wiele czasu, a na dodatek ta krótka walka zmęczyła go o wiele bardziej niż oczekiwał. Po przebyciu mili niespodziewanie zwymiotował, jego organizm domagał się zupełnie innego pokarmu. Nie miał pojęcia jakiego, ale to, co czuł było wręcz narkotycznym głodem i narastało z każdą chwilą. Równocześnie ubywało mu sił. Coraz wolniej i z coraz większym trudem pokonywał kolejne granie i przetęcze Gór Pustych. Zdarte opuszki łap zaczęły krwawić.

Mag-Pająk był już pewien, że wracający z Katimy wampir wymknął

się spod kontroli i tropił teraz jego. Nadal nie było się czym martwić, zastanawiające było tylko to, że aby zbliżyć się tak szybko wampir musiał iść także w dzień. Był teraz tak blisko, iż mógł zakłócić przebieg rzezi legionistów Dargona. Właściwie należałoby już teraz unicestwić nieposłusznego demona na odległość, jednak Pająk chciał go najpierw zobaczyć. Czarnoksiężnika ciekawiło, jak może wyglądać wampir po kilku dniach wędrówki w dziennym świetle i co go do tego skłoniło.

Nie sądził, aby ta sprawa zajęła mu tak wiele czasu, by zaszkodziło

to skuteczności rozprawy z Suminorczykami. Należało tylko przygotować się należycie na jedno i drugie.

Idący granią Ksin dostrzegł maszerujących w dole żołnierzy i zmartwił. Wybuch głodu i pragnienia omal nie doprowadził go do utraty zmysłów. Jednak nie to było najgorsze. Zrozumiał, że pragnie ludzkiej krwi. Świadomość tego przeraziła go i poraziła. Tylko dzięki zmęczeniu nie uległ przemożnemu impulsowi, który nakazywał mu natychmiast zbiec w dolinę i zatopić kły w gardle pierwszego napotkanego żołnierza. Więc niedawno pił ludzką krew... Kiedy? Jak wiele?

Ile razy? Jak do tego doszło? Nie znajdował żadnej odpowiedzi prócz

druzgoczącej pewności dotyczącej samego faktu. Co teraz robić? Tropił czarnoksiężnika, który nasłał wampira, ale po co? Żeby dopełnić

zemsty, czy aby go pożreć. Na tę myśl do pyska kotołaka napłynęła

ogromna fala śliny i pociekła na zewnątrz długimi, lepкими strugami.

Przeżalenie Ksina wzmogło się w dwójnasób. Wiedział, co się stanie,

jeśli znów posmakuje ludzkiej krwi. To będzie ostateczny koniec jego człowieczeństwa. Należało natychmiast zawrócić. Zaszyć się w rohirryjskich ostępach, gdzie nigdy nie zapuszczali się ludzie i tam żyć, chroniąc tę resztkę wolnej woli, jaka mu jeszcze została. Właściwie mógł to zrobić. Wampir został zabity, król powinien wydobrzeć, Ksinowi pozostawało teraz uchronić innych ludzi przed nim samym. Czarnoksiężnik nie był wart, by tracić przez niego duszę...

Kotołak przybrał ludzką postać i wyrwał ze skroni wbity w głowę

amulet kierujący. Zabolalo. Z roztargnieniem rozmazał spływającą po

policzku krew i zawrócił.

Ruszył tam skąd przyszedł.

Ciężko było odchodzić od źródła upragnionego pokarmu, ale póki miał

wolę, żeby tego dokonać, należało to uczynić jak najszybciej. Ogarnęło go poczucie klęski. Przyjął je z ulgą. Lepsze to niż krwiożerczy amok.

Zastanowił się dokąd pójść. Może do chaty Starej Kobiety?...

Rozmyślając nad tym przeszedł kilkadziesiąt kroków, gdy nagle uderzył go mocarny zew Obecności. Ksin stanął jak wryty. Gdzieś niedaleko przebudził się niezwykle potężny demon. Po chwili zmieszania

kotołak rozpoznał Wlokuna. Tknięty nagłym podejrzeniem spojrzął

w dolinę. Wojsko zbliżało się do kryjówki potwora... Zrozumiał. Najpierw król, teraz legion... To wszystko zmieniało. Jeden zdziaczał kotołak więcej był mniejszym nieszczęściem niż śmierć pięciu tysięcy

ludzi i utrata prowincji. Teraz już mógł, nawet powinien posmakować krwi czarnoksiężnika, a potem niech się dzieje, co chce...

Nagły huk i kula żółtego ognia opodał sprawiły, że aż podskoczył.

To wybuchł porzucony amulet kierujący. Skała w promieniu jednego

łokcia stopiła się i płonęła. Gdyby artefakt nadal tkwił w głowie Ksina, z jego ciała zostałyby tylko dolna połowa... Kotołak ruszył w pierwotnym kierunku. Nie miał już dokładnych wskazówek dokąd iść, ale

nie wątpił, iż czarnoksiężnik znajduje się na tej samej grani, gdzieś przed nim.

Po kilku minutach dotarł do Wlokuna. Górski demon miał rozkaz "czekać", więc nie zareagował na obecność pokrewnej istoty, mimo że gruby kobierzec kości trzeszczał i chrupał pod stopami Ksina.

O tym, że nie jest to zwykłe usypisko szczątków świadczył fakt, iż niektóre żebra i piszczele przylgnęły do skał lub tkwiły w pozycjach przeczących prawu ciężenia. Wszystko wokół szemrało i trzeszczało niczym stos naelektryzowanych kawałków bursztynu i pergaminu. Wiążąca kości moc tylko czekała na pozwolenie, by runąć na idących trzysta kroków niżej legionistów.

Kotołak przeszedł przez Wlokuna i podążył dalej. Wpatrywał miejsc, skąd czarownik mógł mieć dobry widok na całą dolinę.

W dole czoło legionu dotarło właśnie do nieprzewidzianej przeszkody. Gdy zdenerwowani dowódcy manipuł przybiegli z tą wieścią do

Dargona, księżę nagle zsiniał i padł nieprzytomny. Wyglądał tak, jakby coś go dusiło. Za moment rozeszła się wieść o odnalezieniu martwych zwiadowców...

Mag-Pająk siedział na malutkiej, otoczonej skałami półce. Przed nim tliło się małe ognisko, a w powietrzu unosił połykający klejnotami i złotem sztuczny pająk. Mag z napięciem wpatrywał się w dolinę, to znów zamykał oczy i pogrążał w medytacji.

Pragnienie ludzkiej krwi było tak silne, że świat w oczach Ksina stracił barwy. Wszystko okryła różowa mgła. Rozsądku starczyło kotołakowi na tyle, by zaatakować w momencie, gdy czarnoksiężnik kolejny raz zamknął powieki.

Mag-Pająk z zamkniętymi oczami widział więcej niż z otwartymi.

Ksin wyskoczył zza skały i równocześnie pomiędzy nim a czarnoksiężnikiem zmaterializował się odrażający nagi półczłowiek, półpająk. Głowę okrywała pajęcza sierść, z policzków wyrastały zakończone hakami wielostawowe odnóża, a monstrualnie rozciągnięte usta wypełniał gąszcz kłów i szczypiec skierowanych prostopadle do siebie. Powyżej spoglądały wstrząsająco ludzkie, smutne oczy. Ręce stwora przypominały ramiona człowieka, ale miały po pięć lub sześć stawów i włochate dłonie. Reszta była zwyczajnym ludzkim ciałem, pomijając podbrzusze, gdzie zamiast przyrodzenia poruszała się para krótkich, grubych szczękoczułek.

Kotołak zignorował iluzję i poprzez nią runął prosto na maga. Przeciwnik popełnił błąd stwarzając samą wizję potwora, bez wrażenia Obecności. Czarownik wywinął efektowne salto w tył, unikając pazurów Ksina, ale zaskoczony zapomniał o wiszącym nad ziemią sztucznym pająku. Kotołak odruchowo pacnął go łapą, strącając w żar ogniska. Artefakt przestrojony na sterowanie Wlokunem na odległość rozpadł się w bryzgu iskier. Mag-Pająk zaklął wściekle, widząc, że został zmuszony do osobistego pokierowania olbrzymim demonem i umknął między głązy. Ksin

skoczył za nim bez namysłu, ale potężne uderzenie ochronnego zaklęcia odrzuciło go z powrotem na polankę. Runął ciężko na grzbiet, wduszając w podłoże dogasające resztki pajęczo-ludzkiej iluzji.

Pozbierał się z trudem. Czuł się wyjątkowo zmęczony i rozbity. Stracił siły do tego stopnia, że w momencie upadku cofnęła się Przemiana. Kotołak stał się bardzo wycieńczonym człowiekiem, dręczonym przez obłąkańczy głód, którego nie mogło zaspokoić żadne normalne jedzenie. Z najwyższym trudem zdołał przekształcić w szpony przedramiona i ruszył za czarnoksiężnikiem. Domyślał się, że Mag-Pająk poszedł do Wlokuna, więc podążył by odciąć mu drogę.

Przeciwnik przewidział posunięcie kotołaka i już czekał na niego

w zasadzce. Koci słuch Ksina wyłowił szmer bijącego serca za pobliską skałą i kotołak zawahał się przed zrobieniem następnego kroku.

Gdyby nie to, kulisty piorun trafiłby go prosto w twarz. Kula ognia

przemknęła o piędź, oślepiając Ksina, uderzyła o kamień, odbiła się

i rozpadła na pęk małych błyskawic, z których jedna trafiła kotołaka

w biodro. Porażony Ksin padł z gardłowym jękiem. Całą lewą nogę

i mięśnie brzucha chwycił obezwładniający skurcz. Spróbował się odczołgać, ale znieruchomiał na widok podchodzącego Pająka.

Czarownik bawił się małym piorunem kulistym, który z sykiem latał pomiędzy jego wyciągniętymi dłońmi. Stanął nad kotołakiem, przez

moment sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował i tylko szybkim ruchem zwrócił dłonie do leżącego. Kulka światła trafiła Ksina w środek piersi. Oplotły go błękitne zygzaki, a całe ciało momentalnie wygięło się w łuk, dotykając podłoża jedynie piętami i potylicą. Fala obłąkańczego bólu zmiażdżyła umysł kotołaka,

ale nie zgasiła świadomości, jego demoniczna natura nie mogła dlań

zrobić nic więcej. Wciąż trwał wygięty w pałąk, obniżający się bardzo

powoli, w miarę jak ustępował skurcz mięśni.

Czarnoksiężnik sięgnął do pasa po broń, aby dobić przeciwnika. Namacał tylko zwykły sztylet, więc zrezygnował i ponownie wykrzeszał

z powietrza piorun kulisty. Był znacznie mniejszy od dwu poprzednich. Także Mag-Pająk po trzech tygodniach bez snu musiał oszczędniej szafować swą mocą. Odczuwał zmęczenie mimo nałożenia na siebie całego szeregu uroków pobudzających umysł i wolę.

Kulka skondensowanej energii śmignęła prosto między oczy leżącego. Równocześnie usta kotołaka wypowiedziały jakieś słowo. Ksin

nie miał pojęcia, co ono znaczy, ani skąd przyszło mu do głowy. Dość,

że pod wpływem zaklęcia, tuż przed twarzą, piorun kulisty rozpadł

się na błyskawice. Błękitne sztychy wbiły się prosto w źrenice. Kotołak stracił wzrok i z tej przyczyny nie zobaczył gniewnego grymasu na obliczu Maga-Pajaka. Zgodnie z zamysłem czarnoksiężnika piorun miał przepalić głowę Ksina na wylot. Pająk nie zorientował się, co było przyczyną niepowodzenia. Uznał, że to on sam popełnił jakiś błąd. W końcu zaklęcie złożył odruchowo, ze zmęczenia nie kontrolując poszczególnych wibracji. Chwilę stał nad kotołakiem zastanawiając się, co robić, po czym - uświadomiwszy sobie, że zaraz Suminorczycy zaczną wycofywać się ze ślepej doliny - nałożył na przeciwnika czar uniemożliwiający Przemianę. Uznawszy, iż to wystarczy, poszedł do Wlokuna. Postanowił, że z tym odmieńcem skończy

później...

Po długiej chwili kotołak z wysiłkiem przekręcił się na bok. To było wszystko, co mógł zrobić. Nic nie widział, a w miarę jak mięśnie

opuszczał bolesny skurcz, wypełniała je wiotka bezsila. Wiedział, że

musi wstać i iść walczyć, lecz w obecnej sytuacji trudno było o bardziej absurdalny pomysł. Na dodatek, z niewiadomego powodu zupełnie nie pamiętał, co należy zrobić, by zapoczątkować Przemianę.

Całą wiedzę dotyczącą tej kwestii pochłonęła jakaś dziwna amnezja.

Musiał skądś zdobyć siły. Skądkolwiek...

Pomyślał o krwi.

Gorącym łyku mrowiącej, ludzkiej krwi... Powrócił głód. Aż go skręciło. Dzięki temu zdołał uklęknąć. Ten drobny sukces pozbawił go

wszelkich zahamowań.

Krwi... Krwi... Krwi...

To pełzł, to szedł na czworakach, niczym zagubiony na pustyni wędrowiec do jedyne go źródła wody. Musiał dotrzeć do Pajaka! On był

upragnionym źródłem...

Krwi, krwi, krwi!

Przemiana nie następowała, ale pragnienie stawało się coraz silniejsze, pokonywało zmęczenie, pozwalało zapomnieć o bólu, dodawało sił...

Krwi! Krwi! Krwi!

Był już bestią, chociaż z jego skóry nie wysunął się ani jeden włos kotołaczej sierści, Wyostrzył się węch. Poczł woń czarnoksiężnika, zapach jego potu i... krwi.

KREW!!! Dotarł do skały, o którą przechodzący Mag-Pająk przypadkiem zadrapał dłoń. Drobinę krwi nie były widoczne gołym okiem,

ale Ksinjak oszalały rzucił się ssać chropowaty kamień. Poczł na języku mrowiące ukłucie: jedno... drugie... nic więcej...

Czarnoksiężnik wdrapał się na niewielką iglicę, chcąc ocenić sytuację w dolinie. Był najwyższy czas posłać Wlokuna. Demon spoczywał w odległości dwunastu kroków. Trzeba było podejść jeszcze bliżej, aby impuls woli maga poruszył lawinę kości. Czarownik schodząc

na ziemię syknął z irytacją- miejsce, gdzie leżał Wlokun nie było dogodne do obserwacji. Wyglądało na to, że ominie go fascynujące widowisko, a przynajmniej jego część, i ta myśl doprowadziła Maga-Pajaka do wściekłości. Obiecał sobie, że w zamian szczególnie policzy

się z tym szalonym kotołakiem Redrena, odpłaci mu za zuchwalstwo!

Ale teraz najważniejszy był Wlokun. Należało się śpieszyć, bo Suminorczycy właśnie zaczęli odwrót.

Podszedł bliżej. Grzbiet grani był w tym miejscu wyjątkowo wąski.

Z prawej otwierała się dolina z tłoczącymi się w dole legionistami, z lewej zaczynało się rozległe osypisko na stoku głębokiego, cichego wąwozu. Wlokun leżał dokładnie pomiędzy przepaściami.

Mag-Pająk stanął przy demonie. Nagły szmer za plecami czarnoksiężnika zmusił go do obejrzenia się. Ostry kamień trafił Pajaka

w głowę, rozbijając czaszkę i wgniatając odłamki kości w mózg. Ksin

wydał chrapliwy ryk i zamachnął się znowu trzymanym w dłoni okruczem skały. Kotołak był w ludzkiej postaci, ale jego oczy płonęły

fioletowym żarem. Pragnienie krwi wyzwoliło bestię, która z powodu nałożonego czaru nie zdołała przekształcić ciała Ksina, ale za to

całkowicie opanowała jego umysł i duszę. Pożądanie stało się źródłem siły.

Kamień uderzył drugi raz rozrywając policzek maga. I znów, trafiając w ramię, w pierś, w szyję, w oczy... Ksin tłukł jak oszalały. Zaskoczony czarnoksiężnik cofnął się o krok. Nie własne rany zrobiły na nim największe wrażenie, lecz przekraczający wszystko amok i obłęd

uwięzionego w ludzkim ciele kotołaka. Mag doświadczył już wiele,

ale oto zderzył się z żywiołem, który można było porównać tylko do

wybuchającego prosto w twarz wulkanu. Zalany krwią czarnoksiężnik

stracił równowagę. Odruchowo przywołał Wlokuna i spadł do otwierającego się za nim wąwozu.

Olbrzymi, górski demon posłusznie podążył za swym panem.

Suminorscy legionieści usłyszeli hałas skalnej lawiny. Z niepokojem

zadarli głowy, jednak uspokoili się szybko stwierdziwszy, iż lawina musiała zejść w którejś z sąsiednich dolin. Był to tak pomyślny fakt, że nikt nie zwrócił uwagi, iż echo tej lawiny rozbrzmiewa wyraźnie ciszej i jest jakby bardziej klekoczące...

Ksin widząc, że źródło upragnionej krwi znika w głębi wąwozu chciał

rzucić się za Pająkiem, ale przeszkodził mu Wlokun. Górski demon

odebrał fragment myśli czarnoksiężnika wskazujących kotołaka jako

wroga. Polecenie nie było dość wyraźne, lecz nawykły do wykonywania rozkazów Wlokun uderzył niewielką częścią swej mocy. Przez moment Ksin poczuł, jakby zacisnęła się na nim miażdżąca pięść. Stracił

oddech, zatrzeszczały kości, zakrwawiony kamień wypadł z dłoni i porwał go płynący po skale potok biało-żółtych kości. Nie Otrzymałszy

dalszych instrukcji, Wlokun nie pociągnął za sobą kotołaka, ale -jak

to miał w zwyczaju - odepchnął drugiego demona jak najdalej od siebie. Ksin zleciał z grani i potoczył się po stoku w dół, ku legionistom, zaś Wlokun i Mag-Pająk przepadli w sąsiedniej dolinie.

Kotołak uderzał o kamienie, pnie drzew, kępy krzewów. Już w połowie drogi do dna doliny wytrzęsło się zeń całe szaleństwo. Kolejne

sztychy bólu wypchnęły bestię poza obszar świadomości. Znów stał

się sponiewieranym, nieludzko zmęczonym i głodnym człowiekiem.

Ostatni wybuch szału wyczerpał resztę nadnaturalnych sił. Umarłby

już gdyby nie był tworem Onego. Rany zadane przez ostre krawędzie

skał nie krwawiły, ale i nie ulegały natychmiastowemu zamknięciu.

Miał szczęście napotykając na swej drodze jary drobniejszego żwiru,

gdyż w przeciwnym razie ciało zawisłoby na nim w takich samych strzępach jak ubranie.

Na dole obstał go tłum żołnierzy. Kotołak wyęzając resztki woli zaczekał aż pojawi się jakiś oficer.

-Jestem kapitan Ksin, dowódca królewskiej gwardii - skłamał, pewien, że wieść o jego dymisji jeszcze tu nie dotarła.

- Ten kotołak?! - usłyszał w odpowiedzi. - Co tu robisz, panie?!

Ksin bezskutecznie starał się wypatrzeć twarz mówiącego.

-To długa historia... -wyszeptał i wreszcie stracił przytomność.

Mag-Pajak przeżył. Owszem, miał rozbitą głowę, po szyi ściekały

mu krew i płyn mózgowy, ale myśli nie straciły jasności. Mimo całego swego szaleństwa kotołak był zbyt słaby, by zabić. Mocno oszpecił czarnoksiężnika, ale nie zniszczył ważnych organów. Rana na głowie mniej niepokoiła Pająka niż złamana noga, bowiem oznaczało to,

że nie da rady natychmiast naprawić swojego niepowodzenia ani

podążyć śladem Suminorczyków. Trzeba było poświęcić pewien czas

na uleczenie najpoważniejszych obrażeń.

Czarnoksiężnik zaczął ostrożnie wygrzebywać się spod przykrywających go kości Wlokuna.

11. Powracający chaos

- Słuchaj no, panie święty - Redren przerwał przemowę, aby potrząsnąć nerwowo szyję. Zabliźniająca się rana na przemian to swędziała, to piekła. Z trudem powstrzymywał się od drapania, co dodatkowo wzmagало królewską irytację. -Już za połowę tego co zrobiłeś powinieneś zawisnąć za... - monarcha nie dokończył przypomniawszy

sobie, że świętocy Reha wskutek inicjacyjnych obrzędów nie posiadali tego, za co pragnął ich powiesić.

Arcyświętca Bero uznał, że to nie pora, by przypominać Redrenowi o powadze swego urzędu, więc stał potulnie i słuchał.

- Chwilowo jednak mam większe kłopoty - oznajmił król - i nie

pora na godziwą rozrywkę... .

- Wasza królewska wysokość, to było pożałowania godne nieporozumienie. .. - Bero sądząc, że mu się upiekło zdecydował się odezwać.

- Doprawdy?... - Redren znów potarł szyję. - Więc może ja każę

teraz wbić cię na pał, a zaraz potem ogłoszę, że było to przykre nieporozumienie. Każę przerwać egzekucję, a najlepsi chirurdzy zrobią

wszystko, by zachować cię przy życiu. Co ty na to. Po tym zabiegu

każdy z twoich wiernych tępicielei i akolitów mógłby ci włożyć w tyłek całą głowę. Wszak zawsze tego pragnąłeś, czyż nie?

Bero wolał nie rozstrzygać, czy król żartuje, czy mówi poważnie, gdyż

mógłby się bardzo pomylić. Pochylił głowę.

- Proszę o wybaczenie, najjaśniejszy panie.

- Wybaczenie? - zdumiał się Redren. - ja ci zaraz dam wybaczenie! Nie można się do ciebie ani na chwilę odwrócić plecami i ja mam

ci wybaczają? Mam wybaczyć ci zdradę, którą masz we krwi? Niech

uczeni filozofowie powiedzą, jak mam tego dokonać?!

Arcyświętca milczał.

- Teraz muszę opuścić Katimę - kontynuował król - ale pozostawienie ciebie samego w stolicy to czyste szaleństwo.

-Jeśli rozkażesz, panie, złożę uroczystą przysięgę...

- Sram na twoje przysięgi - wycedził Redren lodowato.

Bero zbladł i zmartwiał ze strachu.

-Jest pewien niezawodny sposób, który zapewni mi twoją bezgraniczną lojalność - władca uśmiechnął się drapieżnie. - Sam go wypróbowałem...

- Co masz... na myśli, panie? - arcyświętcy załamał się głos.

- W podziemiach siedziby tępicielei więzionych jest kilka wampirów, których nasi dzielni obrońcy używają do załatwiania ciemnych

interesów, a od czasu do czasu wypuszczają na ulice Katimy, żeby przetrzebić opryszków i zapewnić sobie miłość mieszkańców, gdyż ci

w przeciwnym razie mogliby uznać ten cech za bandę darmozjadów

i intrygantów...

- To wstrętna potwarz - ośmielił się zaoponować Bero.

- Ależ skąd - zaprzeczył łagodnie Redren. - Moi gwardziści udali

się dziś rano do zamku tępicielei i przeprowadzili tam staranną inwentaryzację. W jej trakcie połamało się trochę mebli, ale wynik nie budzi wątpliwości: w lochach znajdowało się pięć wampirów. Teraz cztery, gdyż jeden z potworów przebywa obecnie w pałacu pod pieczęcią mistrza Jakuba...

- Panie! - Bero niemal zaskomlał i rzucił się na kolana.

- Skoro mógł król, możesz i ty. Oczywiście wszystko zostanie między nami i w gronie naszych najwierniejszych sług. Pobożny lud się

o niczym nie dowie, zapewniam cię.

Arcyświętca na czworakach zrobił jeden krok w tył.

- Straż - Redren tylko nieznacznie podniósł głos.

Weszło czterech gwardzistów, setnik Zelito i Rodmin.

-Zaprowadzicie go tajnym przejściem do mistrza Jakuba-król zwrócił się do setnika. - On już będzie wiedział co zrobić.

- Tak jest, wasza królewska wysokość! - Zelito służbiście strzelił

obcasami.

- Panie!!! - wydarł się Bero, ale natychmiast zakneblowano go szarfą. Za moment żołnierze wywlekli wierzgającego arcykapłana i Redren

został sam z Rodminem.

-Wampira zabierzemy ze sobą - rzekł król. - Będziesz miał na niego oko.

- Tak, wasza wysokość - mag skłonił się lekko.

- Zabijesz go, gdy przyjdzie właściwa pora, a teraz po... - Redren

zamilkł na chwilę, szukając właściwego słowa -... po zabiegu dopilnuj, by przewieziono Bero do siedziby tępicielei. Niech braciszek Bert trochę się pomartwi, jak wytłumaczyć swoim narwańcom, że z zakorkowaniem arcyświętcy trzeba nieco poczekać. Z drugiej strony,

w świątyni Reha będą się szczerze modlić o powodzenie naszej wyprawy przeciw Wyspiarzom...

- To dobry plan, wasza wysokość - stwierdził z uznaniem Rodmin.

- Dobrze, dobrze... - burknął król. - Od mówienia komplementów mam nałożnice, ty porządnie rób swoje. Wyruszamy natychmiast,

gdy wszystko zostanie wykonane!

Rodmin ukłonił się nisko i ruszył do wyjścia.

- Zaczekaj - powstrzymał go jeszcze Redren.

- Tak, panie?

-Jak sądzę, dopilnowanie naszych spraw zajmie ci jakieś dwie, trzy godziny?

- Mniej więcej, wasza wysokość. Mogę się pośpieszyć...

- Nie musisz... - monarcha wygodniej rozsiadł się w fotelu. -Wiesz

mości magu, wampirza gorączka to doprawdy paskudna przypadłość

- dotknął szyi. - Czuję, że potrzebny mi będzie podwójny okład z młodych, zadartych piersi... Daj znać mojemu ochmistrzowi.

- Rozkaz, wasza wysokość! - Rodmin uśmiechnął się szeroko.

Tej nocy była pełnia. Ksin, mając skręcone obie kostki i wybity łokieć, polecił wynieść się daleko poza obręb obozu i tam pozostawić.

Po kilku godzinach długo wyczekiwane światło Księżyca sprawiło, że

ciało odzyskało pełną sprawność. Gorzej było z Przemianą. Ta oczywiście nastąpiła, ale towarzyszyło jej silne pomieszanie umysłu i głód krwi. Przez pierwszą godzinę w postaci kotołaka jedyne co Ksin był w stanie zrobić to oddalać się jak najbardziej od obozowiska, gdzie spało tyle smakowitych dań... Nadto coś nieprzyjemnie uwierało jego umysł, jakby jakaś obecność czy poczucie rozdwojenia...

Nie mogąc zebrać myśli, Ksin po prostu szedł przed siebie. Stopniowo przykre odczucia zaczęły znikać. Najpierw zapadła się w podświadomość ta dziwna obecność, potem z oporami zaczął zanikać głód.

Co prawda powracał on jeszcze kilka razy nękającymi falami, ale przed

świttem kotołak znów zaczął być panem samego siebie. Wtedy ruszył

w powrotną drogę. Do obozu dotarł już jako człowiek i zaraz po przybyciu do przydzielonego mu namiotu kazał podać kielich najmocniejszego wina. To stłumiło nieco poczucie nienasycenia. Ksin uznał, że do czasu aż jakiś mag nie udzieli mu lepszej pomocy nieustanne pozostawanie w stanie lekkiego pijaństwa było rozwiązaniem najrozsądniejszym. Ktoś kiedyś wspominał, że wino może zastąpić krew...

Gdy alkohol zaczął działać, kotołak przebrał się i udał na naradę.

Wcześniej zdołał już wyjaśnić dowódcom manipul jakiego rodzaju zasadzkę na nich zastawiono, teraz przyszła pora zmierzyć się z szaleństwem Dargona.

Książę niedawno ocknął się ze śpiączki i wciąż sprawiał wrażenie,

iż znajduje się pod wpływem obcej woli. To z kolei oznaczało, że czarownik wciąż żyje. Sytuacja nie wyglądała dobrze.

Dargon siedział u szczytu stołu w namiocie narad i patrzył tępo

przed siebie. Na twarzach dziesięciu obecnych pięćsetników malowała

się głęboka rozterka. Lojalność walczyła z rozsądkiem nakazującym

natychmiastowe wypowiedzenie posłuszeństwa.

- Zostajemy tu i czekamy - powtórzył książę.

- Na co, wasza dostojność?! - nie wytrzymał jeden z oficerów.

- Aż dopadnie nas Wlokun?

- Nie... ma... żadnego... Wlokuna - powiedział Dargon bardzo powoli.

- Owszem jest, panie - odparł Ksin. - Widziałem go i deptałem po nim.

Następca tronu z wysiłkiem podniósł wzrok na kotołaka, patrzył moment bez słowa, po czym pochylił się do przodu, uderzył czołem o blat stołu i znieruchomiał.

- Znowu atak śpiączki - stwierdził ponuro jego giermek. - To zdarza się coraz częściej...

- Jego wysokość nie jest zdolny do dowodzenia legionem - orzekł

Ksin. -Jako dowódca królewskiej gwardii w randze tysięcznika jestem tu najstarszy stopniem...

- Będziecie wykonywać moje rozkazy!!! - Dargon poderwał się nagle. Po tym okrzyku poruszył ustami jak ryba. - Nie będziemy tchórczy w obliczu nieprzyjaciela, zajedno ludzi czy demonów!

- Nie mamy broni do walki z demonem - zaproponował ktoś.

- Mężne serca wystarczą, a tego buntownika - wskazał na kotołaka - powiesić!

- Ależ proszę - odparował Ksin. - W niczym mi to nie zaszkodzi.

Jeśli panowie oficerowie sobie życzą, w dalszym ciągu tej narady mogą brać udział jako wisielec. Proszę mi tylko dać tabliczkę i coś do pisania, gdyż trudno będzie przemawiać...

Nikt się nie ruszył.

- Czy wydałem jakieś rozkazy? - zapytał Dargon. Nie było to ponaglenie, lecz zupełnie szczere pytanie.

-W rzeczy samej musimy tu

zostać, gdyż opuszczenie tak znakomitej pozycji strategicznej byłoby zdradą...

Nikt już nie słuchał słów następcy tronu. Wszyscy z napięciem wpatrywali się w jego twarz. Książę zbladł upiornie, wargi mu zsiniały, a na

szyi pojawiła się fioletowa pręga.

- Obowiązkiem legionisty jest dochować wierności przysiędze bez

względu na okoliczności - wokół oczu Dargona pojawiły się niebiesko-zielone plamy. Paznokcie gestykulujących nerwowo dłoni stały się

sino-czarne.

Obecni wstrzymali oddech.

- To patriotyczny obowiązek wobec przyszłych pokoleń! Przyszłość... - dalsze słowa nie padły, mimo iż usta księcia poruszały się

nadal. Z nosa wyciekła mu jakaś ciemna ciecz. Namiot wypełniła gęstniejąca woń rozkładu. Pręga na gardle Dargona zrobiła się całkiem czarna, skóra wzdłuż niej pękła, odsłaniając pociemniałe mięśnie. Opuchnięty język wypełnił usta. Rozkładający się trup wstał od stołu i uniósł prawą dłoń w geście przestrogi. Potem miękko jak upuszczona szmata upadł na ziemię.

Ktoś ze świstem wypuścił powietrze. Giermek Dargona zakrywając usta dłonią wybiegł z namiotu.

- Panowie - przemówił Ksin. - Myślę, że dowodził wami człowiek

martwy od dwóch tygodni... - odczekał chwilę. - Jego dostojność Dargon, następca tronu, księżę Kemru został podstępnie zamordowany,

uduszony w okolicznościach, które wyjaśni dochodzenie. Teraz,

wyjdźmy może na świeże powietrze...

Nie musiał tego dwa razy powtarzać.

- Co robimy? - zapytał jeden z pięćsetników, niejaki Najsiiito, kiedy stanęli w kręgu opodal namiotu.

-Jak najszybciej opuszczamy tę przeklętą dolinę - odparł kotołak.

- Trzeba pochować księcia - rzucił ktoś.

- Nie ma czasu - stwierdził Ksin. - Wlokun może powrócić w każdej chwili. Niech tylko dobrze zasznurowają namiot. Jego dostojność

chciał tu pozostać, więc pozostanie...

- Co dalej?

Kotołak uśmiechnął się lekko.

- Skoro jesteśmy już po tej stronie Bezimiennej Rzeki wykorzystamy to. Ruszamy forsownym marszem w stronę Oceanu. Wyspiarze wylądowali w Pustych Górach, zatem powinniśmy natknąć się

na ich bazę...

Oczy dowódców manipuł rozbłysły.

- Do czynu panowie! - zarządził kotołak.

Mag-Pająk musiał zaprzestać nekromanckiej manipulacji ciałem

i umyślnie Dargona, gdyż miał na głowie znacznie poważniejszy problem. Dostownie na głowie. Była to rana, którą zadał mu Ksin. Wbite w mózg odłamki czaszki uszkodziły ośrodek mowy. Mag doskonale pamiętał zaklęcia uzdrawiające, ale nie mógł ich wymówić, ani na-

wet wyszeptać. Recytację mogły zastąpić odpowiednie artefakty,

lecz Pająk nie miał ich przy sobie, a złamana noga uniemożliwiła udanie się na poszukiwania. Jeszcze nie pojmował konsekwencji tej sytuacji... Postanowił obwiązać sobie głowę oddartymi od szaty szmatami. W trakcie tej czynności na palcach, którymi przypadkiem dotknął rany ujrzał zielonkawą ropę. Wdało się zakażenie...

Teraz desperacko spróbował wymówić zaklęcia. Język poruszał się

sprawnie, struny głosowe działały, ale z ust maga wydobywały się tylko nieartykułowane pomruki. Słowa w żaden sposób nie chciały opuścić umysłu. Czarnoksiężnik zaczął się bać. Lęk narastał w miarę jak uświadamiał sobie beznadziejność własnego położenia. Bezradność była uczuciem, którego nie zaznał nigdy dotąd. Nie potrafił go znieść.

Po kilkunastu godzinach strach stał się przerażeniem, a to przeszło

w czystą grozę, kiedy pod koniec drugiego dnia od pojedynku na grani Mag-Pająk spostrzegł, że ma gorączkę. Był to już wyrok powolnej

śmierci. Nieodwołalny i upokarzający. Wpadł w panikę. Zaczął się tarzać i zawodzić jak potępieniec. Próbował bić pięściami o skały. Gdy w końcu zabrakło mu siły, dotarł doń smród własnych nieczystości.

Puściły zwieracze.

po opuszczeniu doliny-pułapki Pierwszy Legion Piryjski pod dowództwem Ksina skierował się dokładnie na południe. Tym razem nikogo nie trzeba było ponaglać. Żołnierze z zapalem maszerowali przez

pierwszy dzień i noc, jedynie z krótkimi przerwami na odpoczynek.

Kotołak zarządził postój drugiego dnia po południu, po czym w dalszą drogę ruszyli równo z pierwszym brzaskiem następnego ranka.

O zachodzie Słońca idący przodem zwiadowcy zobaczyli Ocean Południowy i ujście Bezimiennej Rzeki. Zbliżyli się do nich nocą. Marszowa kolumna legionu rozpadła się na poszczególne manipuły, które zalały okoliczne wąwozy, doliny i grzbiety wzgórz, zajmując pozycje do ataku. Zgodnie z rozkazem Ksina szyki rozwinęły się wzdłuż

frontu nie dłuższego niż sześćset kroków, w odległości niecałej mili

od brzegu. O świcie kotołak w towarzystwie kilku oficerów i zwiadowców wdrapał się na wzgórze dające najlepszy widok na miejsce

desantu Wyspiarzy.

Suminorczyków czekało rozczarowanie.

Na wodach zatoki stało zakotwiczonych czterdzieści osiem okrętów wojennych, w tym trzy dwukadłubowe "Bicze morza". Niestety,

wszystkie znajdowały się w odległości co najmniej pięciuset kroków od brzegu, a zatem były dla ciężkozbrojnych piechurów całkowicie nieosiągalne. Równocześnie na plaży, pomiędzy kilkudziesięcioma skleconymi byle jak barakami, krzątało się nie więcej niż stu ludzi.

Baraki te musiały być magazynami zaopatrzenia, obecnie w większości pustymi, o czym świadczyły wystawione tylko gdzieś tam scraże. Frontalny atak był w tej sytuacji przedsięwzięciem bezsensownym

i zarazem ryzykownym, zważywszy możliwość ostrzelania brzegu z okrętowych machin miotających.

Ktoś zaklął cicho.

- To co robimy? - zapytał pięćsetnik Najstito, żyłasty chudzielec, dowódca czwartej manipuły, a od trzech dni prawa ręka Ksina. - Nie możemy czekać zbyt długo. Szybko wykryją obecność pięciu tysięcy zbrojnych...

Kotołak zmarszczył brwi.

- Muszę pomyśleć - stwierdził ponuro.

Mag-Pająk zdychał jak zatłuczony drągiem kundel. Po trzech dniach

od zranienia gorączka zupełnie odebrała mu zmysły. Zżerany gangreną mózg zaczął puchnąć. Zaropiała masa wypęczniała z rany, wyciskając na zewnątrz odłamki kości i rozsadzając czaszkę. Czary wspomagające dotąd umysł maga nie mogły poradzić sobie z działaniem jądów gnilnych. Rozwijające się zakażenie szybko przełamało wszelkie bariery odporności. Drobne skaleczenia i zadrapania stały się rozjątrzonymi ranami, powiększającymi z godziny na godzinę. Pająk żył

i gnił równocześnie. W tych warunkach agonia zaczęła się zupełnie

niepostrzeżenie. Wjej trakcie ciałem czarnoksiężnika zaczęły miotać nieregularne szarpnięcia. To spoczywający kilkadziesiąt łokci dalej Wlokun zaczął wyzwać się spod władzy mistrza magicznych Sieci, jednocześnie usiłując uczynić go częścią siebie. W pewnej chwili opór byłego pana ustał. Ciało Maga-Pajaka, powleczone na niewidzialnej smyczy, potoczyło się po dnie doliny i zmięte w bezkształtną masę przylgnęło do zewnętrznej powłoki górskiego demona. Taki był koniec.

Wraz ze śmiercią czarnoksiężnika przestały działać wszelkie zadziergnięte przez niego czary. W pierwszej kolejności rozpad dotknął jego największe dzieło, czyli Sieć utrzymującą w ryzach zwichrzoną magię Gór Pustych. Daleko od miejsca śmierci Maga-Pajaka, z obrobionej zaklęciami

kamiennej iglicy bryzgnęły skry. Skąła przez moment płonęła zimnym ogniem, po czym rozpadła się z hukiem w tuman pyłu. Rozprzęgające się czary starty kamień na kurz. Coś, jakby gigantyczna a niewidzialna dłoń uderzyła w ziemię i zgarniając jednocześnie głązy i chmury zaczęła spychać je na południe. Obłoki spiętrzyły się w jeden ciemniejszy szybko wał, który stężawszy bryzgnął gradem i piorunami. Skalne lawiny poczęły przesypywać się pod górę, posłuszne sile pchającej je w stronę Oceanu Południowego. Wiatr przeszedł w wicher, który skręciwszy się w tuzin trąb powietrznych również popędził na południe. Magiczny kataklizm z każdą chwilą nabierał mocy i prędkości.

Ziemia zadrżała. Ze wzgórze, z którego obserwowali nieprzyjacielską flotę, osypały się kamienie.

- Tylko trzęsienia ziemi nam brakowało - wycedził Ksin.

- To coś gorszego, panie - odparł Najstio. - Popatrz na chmury!

- Zupełnie jakby coś pchało je silniej niż wiatr... - stwierdził kotołak. - Co to może być?

- Słyszałem, że Wyspiarze przed lądowaniem nałożyli na góry jakieś czary poskramiające tutejszą magię - rzekł pięćsetnik. - Czy ten

czarownik, z którym walczyłeś, panie, mógł zemrzeć z ran?

- To możliwe - stwierdził Ksin po namyśle.

-Zatem jego dzieło rozpada się w proch. Lepiej odejźmy stąd zanim ogarnie nas dzika magia. Każ, panie, wracać za Bezimienną Rzekę, tam poszukamy Wyspiarzy...

- Zaczekaj! - kotołak wertował w pamięci stronice przeczytanych traktatów magicznych, które pożyczał mu Rodmin.

- Czy wiesz co nastąpi, gdy pęknie magiczna Sieć?

- Jeden z magów w Dinie wspominał, iż powstanie wtedy wielka fala... - mruknął Najstio.

- Zerwany brzeg Sieci mknie teraz przez góry zgarniając wszystko przed sobą... Kiedy uderzy w morze odrzuci je jak wielki odpływ.

- Razem z ich statkami - stwierdził z zadowoleniem oficer.

- Nie Najstio, statki stoją na kotwicach, zatem osiądą na dnie. Jeśli dotrzemy do nich dostatecznie szybko...

- Panie, chyba nie myślisz, że... To czyste szaleństwo!

- Właśnie dlatego mamy okazję zdobyć cesarską flotę. Każ oddziałom szykować drabiny i pnie z sękami, po których można się wspinać.

Ziemia zatrzęsała się mocniej.

- Ależ ta magia nas zmiecie! - zaprotestował Najstito.

- Jeśli ludzie przygotują sobie kryjówki na południowych stokach wzgórz, nawała przejdzie nad nimi.

Pozostali oficerowie słuchali z napiętą uwagą.

- Musimy się trochę cofnąć, byśmy nie zostali zauważeni - stwierdził kotołak, - Sądzę, że mamy na wszystko jakieś dwie godziny. Podrywamy się i ruszamy zaraz za nawałnicą. Nie traćcie czasu! - ponaglił podwładnych.

Natychmiast zbiegli ze wzgórza. W przeciągu kwadransa cały legion

upodobił się do skropionego wrzątkiem mrowiska. Nadające się na

osłonę pasmo wzniesień znajdowało się pół mili za obecnymi pozycjami Suminorczyków. Pięć tysięcy ludzi ruszyło w tę stronę, po drodze wycinając napotkane drzewa. W marszu odrąbywano gałęzie, grubsze pnie przerabiając na osęki, cieńsze wiążąc w drabiny. Po dotarciu

do wzgórz natychmiast zaczęto wygrzebywać ziemianki, jamy, poszerzać znalezione pieczary i szczeliny. Ścięte drzewa i drabiny posłużyły teraz do budowy zadaszeń chroniących przed kamiennymi lawinami. Przykrywano je tarczami i płaskimi głazami, wzmacniając najlepiej jak było można.

Oficerowie i prości legioniści pracowali razem

jak w gorączce. Ksin przekształciwszy przedramiona w szpony odrywał łupkowe płyty na dachy ziemianek.

Po upływie sześciu kwadransów legion zapadł się pod ziemię. Nim

upłynął siódmy, Słońce zgasło nagle przykryte przez czarną jak smoła

chmurę. Coś nieskończenie ciężkiego wyrznęło w północne stoki

wzgórz, za którymi ukryli się Suminorczycy. Jakaś miazdząca masa

przetoczyła się na szczyty i zwała w dół. Zagrzmiało potężnie i równocześnie zawyła trąba powietrzna, skręcając wiązkę olbrzymich błyskawic w oślepiający słup błękitnego ognia, który jak monstrialny bat smagnał kryjówki legionistów. Z nieba runął grad i kamienie wielkości ludzkiej głowy. Wszelkie amulety i talizmany zaczęły parzyć. Magiczne pioruny rozcinały powierzchnię rzeczywistości, a ze szczelin ciemności wyzierały oblicza zjaw i demonów. Jakaś świetlista bestia, nim przepadła w zaświatach, wyszarpnęła spod skał dwóch żołnierzy i wrzuciła ich sobie do paszczy. Grzmoty i echa układały się w upiorny chichot.

Czarodziejskie szaleństwo ustało nagle. Czarna ściana przesunęła

się w stronę oceanu. Wyrzało mętne Słońce. Kotołak, nie czekając aż

opadnie kurzawa, wyskoczył z kryjówki. Wszędzie wokół wirował pył

i snuły się jakieś cienie pozbawione rzucających je osób.

- Legion do boju!!! - zaryczał Ksin ile sił w płucach. - Do ataku!!!

Powstali jak zmartwychwstający cementarz. Odrzucili głązy, porwali osęki, drabiny i tarcze. Nie było czasu formować linii. Całą gromadą runęli przed siebie, jakby ścigając wyjące demony. Nie wszyscy podążyli za kotołakiem. Wielu pozostało pogrzebanych żywcem pod kamieniami: spaleni, zmiażdżeni lub porażeni nadnaturalnym Strachem. Nikt się za nimi nie obejrzał.

Baraki wzniesione przez Wyspiarzy na brzegu rozprysły się w drzazgi w okamgnieniu. Obecni tu ludzie zginęli, zanim zdążyli pojąć co się dzieje. Potem niewidzialna ściana magicznej mocy wpadła w morze, spiętrzając przed sobą wodę i pchając ją w kierunku zakotwiczonych okrętów.

Mag-Krab, obecny na jednym z "Biczy morza", dostatecznie wcześnie pojął, co się święci. Wstrząsnęła nim śmierć brata-bliźniaka i fiasko

ich wspaniałych planów, lecz nade wszystko pragnął dowiedzieć się,

jak do tego doszło. Musiał tu zostać. Nie zarządził więc natychmiastowej ucieczki na pełne morze, lecz rozpoczął magiczny ceremoniał mający osłabić impet uderzenia zerwanej Sieci tak, by statki nie zostały strzaskane w jedną masę wraków. Zdążył. Ściana mocy przeszła gładko, zabierając tylko wodę i parę małych jednostek. Pozostałe okręty z chrzęstem osiadły na dnie.

Wyczerpany czarnoksiężnik oparł się ciężko o burtę i ponuro zapatrzył na znów niedostępne granie Gór Pustych. Powoli przeżuwał zmęczenie i gorycz porażki. Dopiero po chwili dotarło do niego, że widzi

ruch na plaży. Tysiące zbrojnych zbiegało z wydm i parło przed siebie, niczym druga fala żywiołu. Wkrótce rozlali się po mokrym piasku dna, z którego ustąpiły wody oceanu.

Suminorczycy!, stwierdził z bezbrzeżnym zdumieniem Mag-Krab.

- Naprzód! Naprzód! - krzyczał Ksin ochrypłym głosem. Nie potrzebował nikogo zachęcać. Żołnierze doskonale wiedzieli, że muszą

zdążyć nim powróci morze. Zdążyć zdobyć okręty...

Tam też to zrozumiano. Marynarze oraz żołnierze piechoty morskiej rzucili się po broń i rozstawili wzdłuż burt, zanim grzęznąca w błocie i wodorostach gromada legionistów pokonała dystans dzielący ich od unieruchomionej floty. Na nacierających posypały się strzały i pociski z katapult.

- Nie atakować małych okrętów! - wrzasnął kotołak, odpędzając

kilkudziesięciu piechurów od niewielkiego dwurzędowca.

- Małym tylko przecinać kotwice! Atakować duże!!!

Wszędzie dookoła przystawiano do kadłubów drabiny i najeżone sękami pale. Pierwsi Suminorczycy pod osłoną kuszników zaczęli się

wspinać na burty. Wszyscy chcieli dostać się tam jak najszybciej. Spiętrzyli się na burtach okrętów niczym wrząca lawa i niepowstrzymanie wdzierali coraz wyżej, przenosząc walkę na pokłady. Ksin, nie zważając na sypiące się zewsząd pociski, biegał od grupy do grupy przerywając ataki na zbyt małe Jednostki i kierując żołnierzy gdzie indziej.

Szczęście legionistów polegało na tym, że statków nie budowało się

po to, by odpierać ataki wojsk lądowych. Suminorczycy bardzo szybko

wyszli ze strefy ostrzału katapult i balist i znaleźli się w obszernych martwych polach, gdzie umocowane do pokładów maszyny miotające nie mogły ich razić. Zagrożenie stanowiły tylko strzały łuczników, lecz przed tymi dobrze chroniły pancerze i tarcze atakujących. Natomiast niskie, pozbawione blanków i strzelnic burty nie osłaniały dostatecznie obrońców, którzy padali masowo rażeni belkami suminorskich kuszników.

Tymczasem pół mili od walczących cała odepchnięta woda utworzyła olbrzymi, sięgający chmur, wirujący powoli słup, czy raczej wieżę. Tylko Mag-Krab wiedział, iż wieża ta wznosi się nad miejscem,

gdzie zatopiono złożone w ofierze tancerki i że ruch mas wody odpowiada dokładnie szybkości i rytmowi ich nieustannego tańca. Jeden biegun magicznej Sieci nie mógł wszak istnieć bez drugiego, stąd lada chwila całe te wyniesione w górę masy wody miały się zapaść z powrotem, tworząc miażdżącą falę.

Nie wszystkie drabiny okazały się dostatecznie długie. W niektórych miejscach przy "Biczach morza" Suminorczycy zostali zmuszeni do mozolnej wspinaczki po pokryciu kadłuba, a osiągnąwszy krawędź burty jeden po drugim walili się w dół pod gradem ciosów. Próbowali przeciskać przez otwory na wiosła, ale bez skutku. Wielu traciło oparcie i spadało, nim doszło do walki.

Ciemna kolumna wydzwigniętej przez magię wody wykrzywiła się

i zaczęła chwiać.

Pulsujący wrzask i łoskot żelaza uniemożliwiały wydawanie rozkazów, mimo to Ksin nawoływał, by odstawić drabiny od statków, gdzie

obrońców już wypierano pod pokład, przedłużać je - wiążąc po dwie

- i użyć do szturmowania "Biczy morza". Strzała z łuku przebiła mu

bark. Wyszarpnął ją z roztargnieniem, a rana zamknęła się natychmiast.

Stwierdził, iż nie słyszy go nikt znajdujący się dalej niż dziesięć kroków, więc sam zabrał się do wiązania drabin. Osobisty przykład okazał się skuteczniejszy od komend. Kilkudziesięciu legionistów przybiegło mu z pomocą. Niebawem przystawili dłuższe drabiny do jednego z "Biczy" i wreszcie horda rozjuszonych Suminorczyków wdarła się na jego pokład. Na drugim legioniści sami zdołali wywalczyć przyczółek na dziobie i zrzucali swoim drabinki sznurowe i liny. Jednak trzeci z oceanicznych olbrzymów pozostawał wciąż nie zdobyty.

Wodna wieża wyraźnie zapadała się już w głąb siebie. Ustał jej ruch wirowy. Pierwotny, cylindryczny kształt przechodził w obły. Chwilo-
wo nie było skąd wziąć nowych drabin, a rozgorączkowani legioniści nie byli w stanie słuchać jakichkolwiek rozkazów. Parli w górę jak oszaleli, nie bacząc na strzały i spadających towarzyszy. W kadłubie tkwiły już setki sztyletów, służących za prowizoryczne stopnie. Wokół burt utworzył się zwał rannych i zabitych, skwapliwie wykorzystywany przez kolejnych nacierających, jakiś Suminorczyk zdołał dobrnąć do szczytu i usiadł okrakiem na burcie. Natychmiast rzuciło się nań czterech obrońców. Legionista zabił jednego, ale gdy uwalniał ostrze z jego ciała odrąbano mu nogę i strącono w dół. Spadając pociągnął za sobą dwóch kolegów.

Powracająca fala szybko nabierała wysokości i prędkości.

Ksin usiadł na mokrym piasku, pośpiesznie zzuł buty, po czym przekształcił w kocie łapy stopy i dłonie, jednym susem dopadł kadłuba "Bicza morza" i błyskawicznie - siejąc drzazgami - wdrapał się na górę. Zajęło mu to niecałe trzy uderzenia serca. Nim obrońcy spostrzegli, co się dzieje już był na pokładzie. Ciosem na odlew zmasakrował twarz najbliższemu, wyrwijąc oczy i szczękę. Następnemu rozharatał tętnicę szyjną. Otoczył go wieniec ostrzy. Wszedł w nie, całkowicie ignorując kąśliwe pocałunki stali. Złamał jeden kark i strzaskał dwie głowy zanim do przeciwników dotarło, iż mają do czynienia z demonem, niezwykłym zwykłą bronią.

Kotołak ruszył wzdłuż burty przepędzając lub mordując obrońców. Za

nim wskakiwali na pokład coraz liczniejsi legioniści. Zapach bryzgającej na wszystkie strony krwi odurzył Ksina, budząc ledwie uśpioną żądzę.

jakaś duża kropla spadła mu na wargi. Poczł jej smak...

Potworny ryk bestii wywołał popłoch wśród Wyspiarzy, ale i zmroził Suminorczyków. Kotołak desperacko uczeplił się resztek świadomości, by znów nie utracić władzy nad sobą. Rzeczywistość zawirowała. Pragnienie krwi wydało się nie do opanowania! Opadł na czworaki przed najbliższą kałużą i pochylił, aby zacząć chleptać...

Dostał toporem w głowę i to go otrzeźwiło. Rozłupana czaszka zamknęła się natychmiast, lecz chwilowy krok w śmierć pozwolił pokonać narastający szal. Ksin wstał i wypruł flaki osłupiałemu z wrażenia Wyspiarzowi. W następnej chwili potworne uderzenie powracającej fali w kadłub zważyło wszystkich z nóg. "Bicz morza" niemal stanął dęba. Żywi i martwi osunęli się po pokładzie, usypując wbeźładną stertę. Kotołak wczepiony pazurami w deski pokładu został nagle

zupełnie sam.

Okręt opadł i zadygotał konwulsyjnie. Trzasnęły drzwi nadbudówki, po czym rozległ się pośpieszny klekot wielostawowych odnóży. Na

zewnątrz wylazł ogromny krab i podreptał w kierunku burty. Nie mógł to być nikt inny jak...

- To czarownik! - zawył Ksin. - Zabijcie go!

Wokół kotołaka zaroili się legioniści. Dwóch miało napiętą kuszę.

Pierwszy beltł wniknął w bok kraba w miejsce skąd wyrastały odnóża. Drugi kusznik obieglł potwora i strzelił, gdy ten wspiął się na burtę. Pocisk z trzaskiem i bryzgiem białych odłamków rozłupał pancerz grzbietowy, znikając pod skorupą. Olbrzymi skorupiak dźwignął się wyżej, przechylił i przepadł w oszalałej morskiej toni.

- Nic z tego... - westchnął ponuro kusznik klęczący obok Ksina.

-Zależy czy to krabołak poczęty z mocą Onego, czy czarownik tylko przetransformował się w kraba - odrzekł Ksin. -jeśli to drugie

powinien skonać z ran...

Walka nie była jeszcze zakończona. Gdy mniejsze okręty wojenne Cesarstwa, którym odcięto kotwice, porwane przez fale

roztrzaskiwały się na brzegu, a legioniści byli zajęci udzielaniem pomocy desperacko uczepionym burt towarzyszom, obrońcy przypuścili

kontratak. Wielu ich jeszcze było na niższych pokładach i w nadbudówkach statków. Nie wszędzie znajdowało się dostatecznie wielu Suminorczyków, aby sobie z tym poradzić. Na szczęście kilku oficerów

wpadło na ten sam pomysł i pomimo skotłowanego morza zdołało przybić do zagrożonych jednostek, dokonując abordażu-odsiecz.

Kotołak nie brał udziału w dalszych zmaganiach. Trzymał się jak

najdalej od krwi. Uczepiony kurczowo burty patrzył w zielonkawą kipieli i starał uspokoić umysł. Szło to opornie, ale jednak.

Woda zachowywała się nienaturalnie. Fale nagle zmieniały kierunek bądź podrywały się w górę, tworząc niezwykle kształty, istniejące dłużej niż można by oczekiwać. Do wszystkich dotarło, iż należy

jak najszybciej opuścić to miejsce. Zanim dorżnięto kryjących się w zakamarkach niedobitków, wszystkie zdobyte statki wyciągnęły kotwice i jak kto mógł popłynęły na pełny ocean. Setnicy i dowódcy manipuł musieli czym prędzej odkryć w sobie talenty kapitanów. Skorzystano też z pomocy jeńców i uwolnionych galerników.

W bezpiecznej odległości zdobyte okręty skupiły się ciasno jeden

przy drugim, łamiąc przy tym dziesiątki wiosł, po czym rozpoczęły

się przegląd strat i zysków. Wkrótce stwierdzono, iż ponad jedna trzecia legionu przepadła w górach i morzu. Na szczęście, z pozostałych większość była zdolna do walki. Zdobyto dwadzieścia sześć okrętów Cesarstwa, w tym trzy ogromne "Bicze morza". Pozostałe padły ofiarą magicznego żywiołu.

Tak więc, owoce tej bitwy; najbardziej szalonej, spośród tych, jakie kiedykolwiek stoczyły lądowe wojska Suminoru, choć kosztowne, okazały się warte zachodu.

Ksin doszedłszy do jako takiego ładu z własną naturą polecił odszukać Najstito. Nie odnaleziono go. Rozkazał zatem zwołać na naradę pozostałych dowódców manipu. Z dziesięciu pięćsetników

przyszła połowa. Zebrali się w kajucie kapitana "Bicza" -jedynym

pomieszczeniu, w którym nie było rozlanej krwi. Mimo to kotołak

niemal nie odstawiał od ust karafki z mocnym winem.

- Sądzę, że powinniśmy natychmiast skierować się na Kemr - zaczął bez wstępów.

Oficerowie zgodnie pokiwali głowami.

-Wszakże bitwy morskiej lepiej nie podejmować - odezwał się jeden z obandażowaną szyją. - Nie ma komu kierować tymi statkami,

marynarzy wśród nas jak na lekarstwo...

- W Kemrze nie powinno być dużych sił cesarskiej floty - odparł Ksin.

- Weźcie znających się na rzeczy galerników i jeńców. Obiecujcie im co zechcą, byle tylko powiedzieli nam, co robić, byśmy się wzajemnie

nie potaranowali w drodze do Kemru. O ile w ogóle tam trafimy...

- Nawigacja nie kłopot, niejeden z naszych jest z rybackiej rodziny - rzekł pięćsetnik z wielkim siniakiem na lewym policzku. -Już

ich wyszukałem i postawiłem przy sterach.

- Twoje imię? - zapytał kotołak.

-Jarasz, panie, dowódca siódmej manipuły.

- Zostaniesz przy mnie.

- Tak, panie.

- Pod murami Kemru powinniśmy zastać tylko ich piechotę - podjął Ksin. - Spróbujemy przerwać oblężenie. Na katapultach znacie się

chyba lepiej niż na statkach?

Wszyscy uśmiechnęli się złowrogo.

- Zatem płynimy i postarajcie się nie łamać więcej wioseł - pociągnął kolejny haust wina.

Pięćsetnicy powstali.

Po godzinie zdobyte okręty uformowały nieporadny szyk i skierowały na północny wschód. O zachodzie Słońca minęli w oddali ujście

Bezimiennej Rzeki. Płynęli przez całą noc, desperacko unikając zderzeń. O świcie stwierdzono, że pozostały tylko dwadzieścia cztery jednostki - przepadły gdzieś dwa trójrzędowce. Na dodatek trzeba było ponownie formować szyk. W trakcie tego dostrzeżono łódź

z rozbitkami. Okazało się, że pochodzą z jednego z zaginionych trójrzędowców. Nocą kilku Wyspiarzy, których wzięto do pomocy

w prowadzeniu statku, wybiło dziury w dnie. Poszli na dno, zanim

zdążyli pojąć, co się stało. O drugim okręcie nie było żadnych wieści.

Rankiem dostrzegli wieże Kemru. Niebawem stwierdzili, że toczy

się tam bitwa. Ksin polecił utworzyć szyk bojowy, a kiedy okręty z mozołem ustawiły się w ławę z "Biczami morza" pośrodku i na skrzydłach, powoli ruszyli w kierunku brzegu. Tumany bitewnego pyłu kłębiły się przy zachodnich murach miasta i przy samym porcie.

Kotołak pierwszy wypatrył, że to cesarska piechota, uformowana

w trzy czworoboki, odpiera kolejne szarże suminorskiej jazdy. Jeden

z szyków Wyspiarzy opierał się o brzeg oceanu. Ksin polecił załadować maszyny miotające. Zwiększyli tempo wiosłowania, co natychmiast odbiło się na spójności linii okrętów. Szybsze trójrzędowce zaczęły za bardzo wysuwać się do przodu. Jurasz chciał coś z tym zrobić, ale kotołak stwierdził, że nie ma czasu. Zaczął wiać boczny wiatr

dotatkowo komplikujący sytuację.

To nie był piękny atak - ostatnie efektowne, pogrążające przeciwnika uderzenie pięścią między oczy. Szyk był rozchwiany, okręty podchodziły do granicy skutecznego ostrzału pojedynczo, przeszkadzając sobie wzajemnie. Mimo to pierwsza salwa podziałała na Wyspiarzy jak grom z jasnego nieba. Dziesiątki kul z płonącym olejem oraz bełtów z balist osiągnęło brzeg, rażąc tyły i łamiąc linie zaskoczonych piechurów. Suminorska jazda, która odstąpiła na widok nadciągającej floty, teraz zaczęła szykować się do kolejnego uderzenia.

- Wciągnijcie na maszt coś, co by choć z daleka przypominało suminorskie gryfy! - zawołał Ksin.

Ten rozkaz wykonano natychmiast i o wiele lepiej niż oczekiwał

tego kotołak. Nawet nie przypuszczał jak wielu legionistów kryło się

pod pancierzami Barwy Królestwa. W ciągu dwóch minut czerwono-

złote sztandary załopotwały na wszystkich zdobytych okrętach.

"Bicz morza" dowodzony osobiście przez Ksina jeszcze nie strzelał.

Kotołak chciał, żeby jak najmniej wyrzuconych stąd pocisków bezsilnie

rozryło piasek plaży Obsługa machin miotających spoglądała nań wyczekująco, a on wciąż zwlekał. Ogromny dwukadłubowy okręt zbliżał

się do celu rozchwianym zygzakiem. Nagle uderzony przypadkową falą ustawił się dokładnie na wprost jednego z cesarskich czworoboków.

- Teraz!!! - wykrzyknął Ksin. - Strzelać! Strzelać!

Huknęły belki katapult, zawarczały ciężki balist. Pomosty artyleryjskie zatrzeszczały szarpnięte siłą odrzutu. Chmara pocisków poprzetykana smugami dymu poderwała się z okrętu, zatoczyła łuk i po czterech uderzeniach serca wpadła w środek szyku Wyspiarzy. Ogień

i panika zmiotły go w oka mgnieniu.

Równocześnie suminorska jazda nabierała rozpędu do decydującej

szarży. Jeszcze jeden "Bicz" zdążył ostrzelać brzeg, nim Suminorczy i Wyspiarze przemieszali się w jedno wielkie kłębowisko. Sześć

trójrzędowców weszło na mieliznę. Znajdujący się tam legionieści zaczęli skakać w wodę i brnąć do plaży.

- Zawracamy! - rozkazał Ksin setnikowi. - Wchodzimy do portu!

- Odwrócił się do Jurasza: - Wygląda na to, iż zrobiliśmy swoje...

- Nawet wojny kiedyś się kończą - stwierdził filozoficznie pięćsetnik.

12. Królewskie pierścienie

Kiedy z kemrskiego portu wymaszerowało dwa tysiące suminorskich

legionistów i opasało żelaznym kręgiem ostatni, stojący najdalej od

morza czworobok Wyspiarzy, ich dowódca zaczął negocjować warunki kapitulacji. Potem nastąpiła ceremonia składania broni.

Ksin szybko dowiedział się, że sześć tysięcy przybyłej z odsieczą,

jazdy przywiódł osobiście sam Redren. Teraz nie pozostało nic innego jak powiadomić króla, kto bezprawnie dowodził legionem, który

stoczył bitwę na dnie oceanu i pozbawił Cesarstwo Archipelagu Południowego połowy floty.

- Ty?! - stwierdził rozbawiony Redren, pokryty warstwą potu i pyłu.

Droga z Katimy do Kemru przez całe Pogranicze Piryjskie była jednak monumentalną szarżą, podczas której dbano tylko o to, by nie

zajeździć koni, zupełnie nie przejmując się ludźmi. Redren pozostawił za sobą pół królestwa całkowicie ogołconego z wierzchowców

i mężczyźni zdolnych się na nich utrzymać.

- Cóż, kapitanie... - stwierdził władca. - Winien ci jestem przeprosiny i podziękowanie, to chyba właściwa kolejność. Lecz teraz zechciej stanąć u mego boku. Ci durnie koniecznie chcą, abym patrzył jak rzucają mieczami o ziemię. Potem pomówimy.

- Szlachetny królu Suminoru... - rozpoczął przemowę kapitan Vergen, zbliżywszy się do namiotu.

- Och, nie nudź! - zirytował się Redren, siadając niedbale przed wejściem. - Zrzuć ten pas i ciesz się, że nie będziesz wisiał.

Pokonany dowódca Wyspiarzy spąsował.

- Co? Masz jakieś wątpliwości co do tego kto wygrał?! - warknął król Suminoru.

- Lecz ceremonia...

-Właśnie trwa. No dalej!

Vergen, zgrzytając zębami, odpiął pas z mieczem i cisnął go u stóp

Redrena. Po kapitanie uczyniło to tysiąc pięciuset jego podwładnych.

Król zupełnie nie starał się być uprzejmy dla pokonanych wrogów, ziewał i nie krył zniecierpliwienia.

- Nie wyjdą z kopalni do końca życia - stwierdził, kiedy z większości rozbrojonych jeńców uformowano kolumny i popędzono do Diny.

- Zgodnie z traktatami winno się ich wypuścić po zawarciu pokoju - zauważył Ksin.

-Jakie traktaty?! - szczerze zdziwił się Redren. - Czy sądzisz, że

po tym wybryku z ambasadorem obowiązują mnie jeszcze jakiegokolwiek umowy? Zresztą nasz nic nie warty braciszek, Kahar V ma w tej

chwili większy kłopot. Spotkała go duża przykrość...

- Jaka panie?

Redren wygodnie rozparł się w fotelu.

- Wyobraź sobie, mości kotołaku, iż coś mu zmiażdżyło palce... Konkretnie uczyniły to pierścienie, które na nich nosił. Nagle zacisnęły się tak, że od prawej dłoni odpadły mu trzy nazbyt lekkie paluchy, a dwa od lewej. Musiał się bardzo zdziwić...

-W jaki sposób, panie?

- Zapytaj Rodmina, gdy go spotkasz. Szczegóły to nie moja rzecz,

wystarczy mi, iż dziś rano otrzymałem potwierdzenie. Podobno nasze cesarzątko darło się tak, że nawet w Karze usłyszano jak zdolnego maga ma Redren - władca uśmiechnął się zjadliwie. - Cóż za ironia losu... Taki wielki cesarz, pan wysp i narodów żeglarzy, a potraktowano go jak kieszonkowca przyłapanego na gorącym uczynku...

Niech mi teraz żaden filozof nie mówi, że nie ma sprawiedliwości na

tym świecie. He, he... Są chwile, mości kotołaku, gdy naprawdę lubię ten padół! Lecz teraz pomówmy o tobie...

Ksin pochylił głowę.

- Nie obawiaj się - Redren wstał i sięgnął do stojącej w namiocie

szkatułki - Oto pierścień z pieczęcią tysięcznika królewskiej gwardii. Zwracam ci go, kapitanie wraz z królewskimi przeprosinami, które ufam, że przyjmiesz.

- Nie ma o czym mówić, wasza wysokość - odrzekł kotołak.

- Tępiciele i świętcy będą innego zdania, ale daję słowo, że więcej nie zdołają mnie przekonać. A to pierścień szlachecki - podał

Ksinowi drugi klejnot - Musimy się jeszcze zastanowić, jaki herb na nim wryć.

Kotołak popatrzył na leżące na dłoni oznaki dostojęstwa.

- No, śmiało, zakładaj - ponaglił go król - One nie odgryzą ci palców.

Ksin wykonał polecenie i uniósł dłoń do światła.

- Wiele się wydarzyło - stwierdził półgłosem.

- Było, minęło - stwierdził Redren zmęczonym głosem - Jak tylko znajdę nowego następcę tronu, zaraza Szkoła Dargona, rozgarnięty był chłopak, lecz dość będę miał zięciów do wyboru. W każdym razie, gdy to załatwię, nawet historykom nie będzie się chciało

wspomnieć o tej małej, nic nie znaczącej wojence. Suminor pozostał

cały, a i ty spadłeś na cztery łapy, tak jak przepowiadałem.

- Nie jestem pewien, wasza wysokość - wyszeptał Ksin - Nie jestem...- Myślał o smaku ludzkiej krwi.

Warszawa 1996 - 1997

Szanowny Czytelniku!

O kolejnych przygodach Ksina

przeczytasz w najnowszej,

jeszcze nie publikowanej

powieści

Konrada T. Lewandowskiego

"Wyprawa Kotołaka"